

Etapami na Syberye.

ETAPAMI
NA SYBERYĘ

OBRAZY I WSPOMNIENIA



W WARSZAWIE
Nakładem Gebethnera i Wolffa
w Kwiecniu
1916.

73246

Komputer

Książka niniejsza odbita w tłoczni
WŁ. ŁAZARSKIEGO
w Warszawie.



194950

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0091170

Za zezwoleniem Censury Niemieckiej
d. 29 marca 1916 r. T. № 637, Dr. № 45.

K-28/89

Przedmowa.

Kto wie ażali nie gorsza od samej Syberyi była owa okropna droga do niej, którą tylu, tylu rodaków przebyć w kajdanach musiało. Synowie po ojcach, wnukowie po dziadach, szli owemi utartymi szlaki, trafiając co kroku na krwawe ślady poprzedników, spotykając się z nimi na miejscach wygnania, widząc na drogach sybirskich bielejące ich kości i resztki próchniejących krzyżów na ich samotnych, tak dalekich od ojczyzny mogiłach.

Od chwili, gdy skazaniec na Sybir dowiedział się o swoim losie, przechodzić musiał cały szereg udręczeń, o jakich mieszkaniem cywilizowanych, szczęśliwszych, wolnych krajów nie może mieć pojęcia. Okuty w kajdany,łączony z wyrzutkami społeczeństwa, z najgorszego gatunku zbrodniarzami, szedł męczennik swobody, od etapu do etapu, obdarty, głodny, potrącany przez barbarzyńskich żołdaków, okradany z niezbędnej kwotki, wyznaczonej na jego utrzymanie.

O tem co się działo na tych, tak zwanych etapach, trudno sobie wyobrazić. Jakie tam popełniały się zbrodnie, jakie nadużycia, jakie okrucieństwa, wiedzieć o tem mogą jedynie ci, którzy przez to piekło dantejskie brzechodzili. A chociaż czasami i wśród zgrai katorżników, kryminalistów, trafiali się ludzie, choć niekiedy urzędnicy, a nawet dygnitarze rosyjscy wykazywali niespodziewaną dobroć serc i życzliwość dla polskich skazańców, to naogół jednak warunki tej podróży były tak okropne, iż katorga syberyjska wydawała się po niej odpoczynkiem i wytchnieniem.

Wspomnienia z tych to właśnie etapów i związanych z niemi udręczeń opisane przez naocznych świadków zamieszczamy w niniejszej książce. Poproście wierzyć się dziś nie chce, iż mogły niegdyś egzystować takie warunki deportacji politycznych więźniów, to znaczy ludzi przeważnie z inteligencji, a zawsze pełnych szlachetnego ducha i gorącej miłości.

„Etapami na Syberję”

czyta się jak szereg jakichś wizyi potwornych, które oby na zawsze rozwiały się i utonęły w przeszłości. One najlepiej dają miarę tego, co uczestnicy walk o wolność wycierpieli dla swej umęczonej a tak bezgranicznie ukochanej ojczyzny.

A. O.



W DRODZE NA SYBIR.

Było to dnia 25 lipca 1834 r. Noc była ciepła i widna, chociaż lekki mżył deszczyk, szybko jedna za drugą dążyły bryczki pocztowe, a widać poczta była naprzód zawiadomiona, gdyż na każdej stacyi gotowe już czekały konie. My pierwsi tej wywózki stanowiliśmy początek; przed każdą stacyą ledwo się chwilę zatrzymywano i wolno tylko było przesiąść się z bryczki na bryczkę, a nigdzie wewnątrz stacyi wejść nie pozwalano. Na każdej stacyi konwojujący żandarmi tworzyli wartę, która nie dozwalała dopóty zsiąść z bryczki, dopóki przepręgu i załatwienia formalności nie uskutecznilo; również nie dopuszczała nikomu zbliżyć się do nas, chociaż na każdej prawie stacyi zastawaliśmy po kilka lub kilkanaście osób czekających na nasz przejazd, aby choć chwilę nas zobaczyć. Stało to wszystko po bokach, lub za drzwiami wchodowemi,

i milczący patrzeli na nas z przerażeniem i ze łzami współczucia. Tak noc przeszła, w dzień przejechaliśmy przez Siedlce i nad wieczorem stanęliśmy w Terespolu, gdzie szybko wyeksperymentowawszy nas przez komorę graniczną, powieziono przez most na Bugu do fortecy Brześcia Litewskiego. Oficer zameldował się u komendanta, a zaraz potem przejechawszy przez fortecę, stanęliśmy na noc w karczmie na przedmieściu. Zaraz za nami przybyła warta, którą komendant przysłał z fortecy, może około 12 ludzi; ci karczmę szyldwachami obstawili i całą noc strzegli, żebyśmy nie uciekli i żebyśmy się z nikim nie zobaczyli. Straż miała broń ostro nabita, a ledwie dzień się zrobił, zaszły pocztowe bryczki i w dalszą puściliśmy się podróż, jadąc odtąd dniem i nocą bez wypoczynku i bez noclegów, i zatrzymując się jedynie po pół godziny na obiad i na kolację, podług uznania konwojującego nas p. Świeta. Na drugi czy na trzeci dzień podróży naszej, około południa przyjechaliśmy do Słonima.

Zdziwiło nas mocno i oficera naszego, niezwykle obstawienie poczty wartą. Pan Świat wyskoczył z bryczki, a porozumiewając się z będącymi tam żandarmami, kazał nam udać się do stacyi, znajdującej się po drugiej stronie stacyi pocztowej, i przez czas poprzęgu ściśłą z naszych żandarmów obstawił nas strażą. Przez ten czas niezwykle jakiś ruch i bieganina na poczcie nie ustawały, a jęki boleści, dochodzące do uszu naszych, przerażały nas tem bardziej, że nie mogliśmy odgadnąć przy-

czyny. Wtem drzwi do drugiego pokoju wiodące, same się uchyliły, czego żandarmi nie spostrzegli, a nam przedstawił się obraz okropny. Były tam dwie damy, Polki, które wywożono na Syberję. Jedna z nich była przy nadziei i utrzęsienie się jej, widać przyspieszyło chwilę rozwiązania. Leżała na łożu jęcząc w ostatnich bólach, przed łożkiem stała jakaś baba, klócąc się z oficerem, który te damy konwojował, i żądała, żeby natychmiast kazał zdjąć z nóg chorej kajdany dla możności i ułatwienia rozwiązania. Oficer lżył babę i nie pozwalał dotknąć się do kajdan, krzycząc: „Pust' izdochniet a kandałow sniat' nielzia“. W tej wrzawie i zamieszaniu rozległ się krzyk okropny, i cisza nastąpiła grobowa, przzerwana kwileniem dziecka. W tej chwili zaszły nasze bryczki zaprzężone, wyprowadzono nas, nagląc jaknajprędzej siadać, i nigdy dowiedzieć się nie mogłem, kto te damy i jak się skończyła ta tragedia moskiewska.

Do wsiadających nas na bryczkę, jakiś w wieku i baryłkowaty jegomość, dowiedziawszy się, że nas z Polski wywożono, zbliżył się i zapytał: czy nie wiemy co się dzieje z Jurgaszką, który służy w żandarmach w Polsce?—Odpowiedziałem, że go znam bardzo dobrze, i że zasługuje, jeżeli nie zdechnie, aby wyszedł wysoko, aż na szubienicę. Był to mieszczanin Słonima, godny stryjaszek p. Jurgaszki, i trafił losem na dobre źródło wiadomości o kochanym swoim synowcu.

Bryczki z nami pomknęły dalej, jechaliśmy przez kraj polską krwią użyźniony, zasiany kośćmi braci

naszych, którzy zaufawszy Napoleonowi, sądzili, że za jego pomocą dobiją się swobód i wolności dawnej. Przejeżdżaliśmy przez Smoleńsk, Orszę, Borysow i Mińsk, i na trzeci dzień zanocowaliśmy w Wiazmie. Miasto dosyć duże, porządne, które na całą Moskwę tak jak nasz Toruń piernikami słynie. Z Wiazmy wyjechawszy przejeżdżaliśmy przez pola Borodina i stanęliśmy na noc w Wolnej-Janice, ostatniej stacyi przed m. Moskwą.

Nazajutrz około południa w najpiękniejszą pogodę wjechaliśmy do starej stolicy, zawieziono nas wprost przed pałac generała gubernatora, którym był wówczas ks. Golicyn. Stanęliśmy na ulicy, gdyż nam zsiść nie pozwolono; mnóstwo ludu zbiegło się natychmiast, aby się przypatrzeć nowemu widowisku, bośmy byli pierwszymi z ówczesnej wywózki. W całym tym tłumie nie można było dostrzedz uczucia nieprzyjawnego lub naigrwania się, owszem spojrzenia były pełne litości i współczucia, kilku nawet, przechodząc jakby niechcący koło bryczki, wrzucili do niej srebrne pieniądze. Odtąd już Świeta więcej nie widzieliśmy, bo po półgodzinnem czekaniu wyszedł jakiś policyjny urzędnik, przysiadł na naszej bryczce i zawołał na izwoszczyka: „W tiuremnyj zamok“. Eskortowani przez dwóch kozaków miejscowych, wyjechaliśmy za miasto, gdzie ujrzeliśmy ogromne zabudowanie w kształcie jakby fortecy lub jakiego zamku feudalnego obrzuconego warownemi wieżami i bramami. Na głównej bramie, przez którą wjechaliśmy, błyszczał napis złotemi literami: „Gubernskij Mo-

skowskij Tiuremnyj Zamok.“ W bramie przyjął nas smotrytiel, t. j. nadzorca więzienia, i każdego osobno odprowadził do innej ciemnej celi i zatrzasnął ryglami—a tak piątego dnia ujrzałem się o 1200 wiorst od Warszawy w więzieniu w Moskwie, gdzie zbity i zmęczony tak daleką jazdą, na znajdującym się tapczanie twardym snem zasnąłem.

Trzy dni przebyte w tem więzieniu przespałem prawie, wychodząc czasem na mały dziedzińczyk do przejścia się. Był on przy mojem więzieniu okolony murem, a drzwi do niego zawsze były otwarte, w końcu tego dziedzińczyka były jeszcze drugie drzwi warowne, ryglami zamknięte i prowadzące do innych dziedzińców oraz zabudowań więziennych. Wysokość muru była taka, że oprócz nieba nic widać nie było, z prawej tylko jego strony wyglądało najwyższe piętro ogromnej baszty. Przychodzący do mnie każdego dnia w południe smotrytiel, mówiący dosyć dobrze po polsku z akcentem małorusińskim, objaśnił mi, na moje zapytanie, że to było widać szczyt baszty, w której Pugaczew był więziony, i że przechowują się kajdany, w których był zakuty, a które mają 6 pudów, t. j. 240 f. ważyć. Sądząc po moich kajdanach, które mogły ważyć od 8 do 10 funt., można sobie wyobrazić, co musiał wycierpieć Pugaczew, który oprócz tych kajdan, przykuty był jeszcze łańcuchem do muru; sześć miesięcy w tej baszcie przesiedział i potem był na placu ćwiartowanym.

Gdyby „Tiuremnyj Moskowskij Zamok“ i ś. p. Bastylia wraz z Ponte dei Sospiri mogły opowie-

dzieć to, czego były świadkami, ile łez i krwi ludzkiej widziały, nie wątpię, że „Tiuremnyj Zamok“ przegadałby je dziesięć razy.

Dobre to było człowieczysko ten pan smotrytiel, dawny wojskowy, ale głupi jak but, albo głupszy nawet od buta. Przeważał go srogie zakony, bo litując się nademną, ciągle pocieszał mię niby, „Cztoż diełat' batiuszka, u nas takije srogie zakony.“ Na czwarty dzień z rana zjawił się smotrytiel, donosząc, że bryczki i żandarmi czekają i że w dalszą mamy się udać drogę.

Czy widzieliście kiedy moskiewską kibitkę, tak zwaną telegę? Może być, że wtedy, gdy ktoś będzie to czytał, zaginie już rodzaj tego wozidła, co, prawdę mówiąc, nie będzie wielką stratą ani dla kunsztu powoźniczego, ani dla podróżnych, i dla tego postaram się odwzorować je słowami, aby tradycja o nich nie zginęła marnie. Telega vel kibitka, jest wóz na czterech równych, toczących się kołach, tylne koła idą tuż za przednimi, tak cała długość wozu ma najwięcej 2 $\frac{1}{2}$ łokcie. Koła połączone są osiami i rozworą, a na tem spoczywa dość płytko ale za to szeroko rozwalone z łubu koryto, mocnymi spojone więzadłami z drzewa, i jest na tychże osiach przytwierdzone w ten sposób, że koniec tylnej osi tykający, spoczywa zupełnie na samej rozworze, przednia zaś część przytwierdzoną do grubego na 3 cale bala, przez co cały wasąg leży pochyło i tył jego jest o łokieć niżej od przodu. Wyobraźcie więc sobie przyjemność jazdy, gdy podróżny z tyłu siedzący w dro-

dze o kolana swoje brodą tłucze. Bliskość zaś kół przednich z tylnymi tak trzęsącą robi jazdę, że tylko Moskałem trzeba być, żeby ją miłować.

Dwie telegi tego rodzaju zastaliśmy przed więzieniem w wewnętrznym jego dziedzińcu, zaprzęzione każda trójką koni, środkowy koń w ogłobcach, a nad nimi wznosiła się duga, pod którą wiecznie brzęczący kołysał się dzwonek. Wrzucano na telegi małe nasze tłumoczki, i po dwóch musieliśmy wsiąść na każdą telegę, a żandarmi zasiedli na koźle obok zwoszczyków. Wspomnieć tu winienem, że, jak się później o tem dowiedziałem, w tem więzieniu w Moskwie kilka miesięcy później poseł Niemojewski zachorował wieziony na Syberyę i umarł.

Zasiadłszy na pierwszej teledze z Luboradzkiem, puściliśmy się traktem ku Włodzimierzowi, za nami jechali Nowak i Weber. Po trzech dniach podróży dniem i nocą, stanęliśmy w Włodzimierzu, gdzie nas zawieziono przed generała gubernatora, a był nim wówczas Gurjew, bardzo grzeczny i wykształcony człowiek. W kilka godzin wyekspedyowano nas dalej, ale z innymi żandarmami. Odtąd żandarmi co gubernia zmieniali się, a żal nam było moskiewskich żandarmów, bo byli dobrzy i porządni ludzie, kiedy przeciwnie z włodzimierskich żandarmów, ten co jechał na mojej teledze, był pijak, a na teledze Nowaka gbur i zdierca.

Mój żandarm nie zaniedbał się upić na każdej stacyi, poczem zasypiał na koźle i śpiąc przewalał się wznak na nas, i w tej pozycyi zwykle do na-

stępną dojeżdżał stacyi. Niezmiernie nam przykrem było dźwigać na kolanach naszych tak nieprzyjemnie pachnący ciężar. Towarzysz mój, Luboradzki, młody, i figlarny chłopiec, zdobył się na dość nieprzyzwoity koncept, żeby się uwolnić od tego ciężaru, albowiem żandarm prawie zawsze na nim zasypiał. Ja w ten sposób zwykle sobie radziłem: skoro tylko zwałił się żandarm na mnie, zaraz go obcasem tak poczęstowałem, że mruknąwszy znany moskiewski komplement odwałił się na Luboradzkiego.

Z takim konwojem przybyliśmy do Niżnego Nowogrodu, gdzie trafiliśmy na sławny jarmark Markarjewski. Na tym jarmarku sławnym na całej północy odbywa się cały zamienny handel Europy z Azyą. Tu zatrzymaliśmy się z godzinę, w jakiejś nędznej oberży, żandarmi się zmienili, i w dalszą ku Kazaniowi puściliśmy się drogę. Jeszcze wówczas nie było bitej szosy do Kazania, która dziś istnieje, spróbowaliśmy więc owej sławnej w Moskwie drogi z okrągłaków, prowadzącej czasem kilkadziesiąt wiorst przez bagna i trzęsawiska. Droga usłana jest okrągłakami w poprzek obok siebie ułożonymi, i można sobie wyobrazić mękę, jaką sprawia jazda po tych okrągłakach w kubitce, dodawszy do tego jeszcze wyboje wybite przez koła. Jeden jest tylko sposób na to, żeby jelita z ciała od tej jazdy nie wyleciały, to jest jechać całym pędem, wówczas chociaż trzęsie, ale kubitka nie ma czasu tak dobitnie oddać każde wstrząśnienie. Zwykle też tak tę drogę przebywają, a konie są tam

dobrze i przywykłe do takiej jazdy. Kraj tu jest piękny, chociaż płaski. Przemknęły się nam znaczniejsze miasta, Murom i inne, i przebywaliśmy wiele rzek na promach, w tej liczbie także Okę. Siola zaludnione małym lub malowniczym ludem Czuwasów i Czeremisów, stroje kobiet chociaż dziwne, lecz bardzo malownicze. Lud zdaje się dobry, wszędzie przyjmowano nas z okrzykami współczucia, nawet serdeczności; częstowano rybą, pierogami i nabiałem, nie przyjmując żadnego za to wynagrodzenia, czasem tylko zdarzyło się, że jakiś pijak lub ultramoskał (co prawie na jedno wychodzi), na widok nas pomruknął sobie: „Polak prospał Warszawu.“ Temi słowami niekiedy lud rzączył nas w przejeździe, jakby urągając, żeśmy nie bronili Warszawy jak należało.

Końmi tamtejszymi trzeba jechać, żeby je ocenić. Małe, z długimi grzywami i niepozorne; ale na każdej stacyi musieliśmy wjeżdżać wewnątrz dziedzińca, gdzie zaraz i bramę zamykano, a gdy nowozaprężona stanęła kubitka, przy każdym koniu stał człowiek, który go przy pysku trzymał. Skorośmy na kibitkę wsiedli, zwoszcyk z zatkniętym za pas batem siadał na przodzie, brał cugle, wkładał rękawice, żegnał się i obracając się do nas, mówił: „dzierzys baryń.“ Wtedy za danym znakiem ludzie od koni odskakiwali, otwierano jednocześnie wrota i pędem strzały wypadały konie, tak, że zdawało się, iż na zawrocie kubitka tylko na dwóch bocznych ku środkowi zawrotu leciała kołach. Zwoszcyk wtedy pokrzykiwał i pogwiz-

dywał, i takim szalonym biegiem literalnie mknęliśmy tylko wiorst kilka, poczem zwoszczyk zaczął krzykliwą piosenkę, którą zwykle była:

Ach wy woronuszki, gołubuszki,
Podrywajcie nożki,
Z gorki na gorku,
Dast' baryń na wodku!

a konie, jakby na tę nutę bies w nich wstępował, rwały galopa. Następnie zwoszczyk zaciągał pieśń jaką na nutę smutną i przeciągłą, dziką, jak dusza niewolnika-zwierza, której wtórował brzęk dzwonka pod dugą. Na kilka wiorst przed stacją znowu szła wstępował w zwoszcyka i w konie, tak, że od chyżości milkł dzwonek, bo nie mógł tak szybko sercem bić w boki. Nigdy trzech minut wiorsty nie jechaliśmy.

Po kilku dniach podróży stanęliśmy nad Wołgą, przez którą przeprawialiśmy się na promie, a od przewozu tylko parę wiorst drogi do Kazania. Tam pierwszy raz widziałem statki na Wołdze, zwane doszczenniki; są one w kształcie Jadwig naszych, ale większe i obszerniejsze. Na wierzchu pokładu jest urządzone koło, w którym wprężone chodzą konie; koło to obraca wewnętrzną maszynę, cały statek w ruch wprawiająca, za pomocą bocznych kół skrzelastych, jakie są zwykle u statków parowych. Wtedy jeszcze żegluga parowej na Wołdze nie było zupełnie.

Po przebyciu przewozu zawieziono nas do mieszkania gubernatora cywilnego, a owego czasu był

nim markiz de la Traversière. Kazano nam wysiąść; ucieszyło mię to niezmiernie, bo sądziłem, że będę mógł rozmówić się po francuzku z Jego eks-celencyą; skoro więc ukazał się pan gubernator, wypaliłem mu francuzki komplement, ale jakież było moje zadziwienie, gdy potomek francuzkich margrabiów rzeczywisty, ale widać moskiewskiej fabryki, figura dosyć niepoczesna, przyznał się, że po francuzku nie rozumie. Popatrzawszy się na nas gapiowato, kazał nas odwieść do więzienia na nocleg.

Nazajutrz zmieniono nam żandarmów i w dalszą ku Permie puściliśmy się drogę. Kilkadziesiąt wiorst za Permą wjechaliśmy w Uralskie góry, a wciąż podnosząc się coraz wyżej, stanęliśmy w Ekaterynburgu na najwyższym stoku gór Uralskich.

Tam przebyliśmy kilka godzin, a do konwoju zamiast żandarmów, otrzymawszy miejscowych kozaków, pojechaliśmy do Tiumenia, pierwszego miasta Syberyi. Witaj, kraino mrozów i śniegów, ogrzana westchnieniami wygnańców!

W Tiumeniu zaledwie pół godziny zatrzymaliśmy się, a na drugi czy na trzeci dzień stanęliśmy nad Irtyszem, przez który przeprawiliśmy się na promie, przytwierdzonym do szeregu łodzi, tworzących promień ze środka rzeki, przez co prom ten bez pomocy ludzi od jednego do drugiego przechodzi brzegu, wskutek parcia prądu wody. Tu stanęliśmy na przedmieściu Tobolska, zwanem Podczuwasze, skąd zawieziono nas do miasta przed mieszkanie tobolskiego gubernatora cywilnego, i wpro-



wadzono nas do przedpokoju, gdzie w towarzystwie obdartego quasi-lokaja i naszych kozaków, czekałiśmy z pół godziny na jego ekscelencyę. Nakoniec J. W. gubernator raczył się pojawić; średniego wzrostu, czarny, chudy, tatarskiej fizyonomii, bez żadnego piętna rozumu lub szlachetności. Z winnem uszanowaniem do takiego dygnitarza, odezwałem się znowu po francuzku do niego, próbując szczęścia z językiem.

Przeraźliwie i chrapliwie krzyknął na mnie dygnitarz: „kak ty śmiejesz gawarit' do mienia po francuzki, ty kak poddannyj naszewo caria, dołżeń znat' po ruski, libo ja, chatiaby i znał po francuzki, nie dołżeń towo ponimat' i nie otwierałby na tom sobaczom jazykie.“ (A po polsku to znaczy: „jak ty śmiesz mówić do mnie po francuzku, ty, jako poddany naszego cara, powinieś umieć po moskiewsku, albowiem ja, chociażbym umiał po francuzku, nie powinienem go rozumieć i nie odpowiedziałbym tym psim językiem.“ — Przekład dosłowny słów jeneralskich).

Takie było przyjęcie na pierwszym wstępie do Tobolska, gdzie dowiedziałem się, że język francuzki jest psim językiem. Jaśnie wielmożnym tobolskim gubernatorem cywilnym był radca Stanu i kawaler Iwan Wasilewicz Kopytow. Bogu najwyższemu dzięki, że te pierwsze słowa tego dygnitarza były zarazem ostatnimi dla mnie, bo wkrótce przeniesiono go do Krasnojarska, i już go więcej nie widziałem, ani filologicznych wywodów jego nie słyszałem.

Ztamtąd powieziono nas do jenerała gubernatora, którym był wówczas Weljaminów, bardzo godny i poczciwy staruszek. Tam zastaliśmy już czekającego przed bramą policmajstra miasta Tobolska, czyli tak zwanego „gorodniczego“ p. Aleksiejewa. Wprowadzono nas wszystkich na górę do pokojów jenerała gubernatora w kajdanach, tak, jak byliśmy okuci.

Nadzwyczaj uprzejmie i grzecznie przyjął nas staruszek, a przeczytawszy nasze nazwiska, zapytał się mnie: czy szambelan Wolicki, którego w Polsce znał, był moim krewnym, a gdy się dowiedział, że to właśnie był mój ojciec — lzy mu stanęły w oczach i czule mnie uściskał, a zauważywszy, że chromałem na nogę, i dowiedziawszy się, że to z przyczyny rany od kajdan, polecił natychmiast policmajstrowi, aby zawoławszy ślusarza, rozkuć mię kazał.

W mgnieniu oka zjawił się ślusarz z narzędziami, a nie mogąc z powodu spuchniętej nogi rozbić gwoździ, którymi kajdany były zanitowane, przy muszony był pilnikami rozpiłować kajdany na bucie. Po oswobodzeniu się z tej ciężkiej i niewygodnej ozdoby, nie mogąc dla puchliny ściągnąć butów z nogi, musiałem dać rozerznąć cholewę, pod którą pokazało się dużo krwi i materyi. Wszystko to działo się w salonie jenerała gubernatora; poczciwy starzec ze łzami patrzył na tę smutną scenę, pożegnał nas, polecając opiece policmajstra, a zwracając się do przybyłego pod ten czas doktora wojskowego, (który był zarazem osobistym

jego lekarzem), Polaka, Antoniego Sadowskiego, powiedział: „prenez donc soin de son pied, c'est votre compatriote.“

Pożegnawszy jen. gubernatora, wyszliśmy z tamąd: ja bez kajdan, a Nowak bez żelaznego lampasa. Policmajster zaprosił nas, żebyśmy z nim razem na jego siedli drążki (ten rodzaj wozidła zwykle nazywają kiszka); Luboradzki i Weber w kajdanach, jako skazani do ciężkich robót, siedli na jedną z kibitek wraz z policyantem, i powieziono ich do ostroga, t. j. więzienia, albowiem, jako katorżni, nie mogli zostawać w Tobolsku. My zaś z Nowakiem i policmajstrem pojechaliliśmy do jego własnego domu na Wielkiej Archangielskiej ulicy, i przez cały czas naszego w tym domu pobytu, policmajster jak najgościnniej nas podejmował. Doktor Sadowski przez dwa tygodnie codziennie przychodził do mnie, przez ten czas noga moja znacznie wyzdrowiała i mogłem chodzić o pomocy kija.

Stałem więc na miejscu przeznaczenia, na ziemi wygnania, o 5000 wiorst od kraju mego rodzinnego, od mojej zagrody.

(„Wspomnienia Konstantego Wolickiego z czasów pobytu w cytadeli Warszawskiej i na Syberyi“ — Lwów, 1876.)

POŻEGNANIE POLSKI.

S poczywałem na łóżku i powstrzymywałem myśl, która się rwała do ludzi, świata i życia, a była skazana na odosobnione krążenie, równające się bezczynności. Kraty w oknie, drzwi zamknięte, ściany niema, z korytarza dochodzi cichy odgłos stąpania żandarmów — milczenie naokoło grobowe.

W tej ciszy myśl pracuje ustawicznie, wije ona i płacze nici pomysłów, farbuję się krwią serca, wyrывa się za kraty, bieży na pola i łągi, do domów i chatek, między braci ukochanych i umiłowanych całą duszą!

Klucz we drzwiach zaskrzypnął, myśl, jak bolącą arterją, ściągnęłam z rozkosznej podróży i spojrzałam na drzwi;—żandarm wszedł do numeru i rzekł: „zabieraj pan wszystkie swoje rzeczy“ i stanął, oczekując. Co to znaczy? pomyślałem, zwijając manatki; serce zabiło niespokojnie, bo przeczuwało wygnanie.

Wyszedłem na korytarz, z kądem pomiędzy dwoma bagnietami żołnierzy zostałem przez żandarmów zaprowadzony do kancelaryi dozorca więzienia, kapitana żandarmeryi, Żuczковского, zwanego Morokiem. Oliwkowa twarz jego zwróciła się do mnie z uśmiechem szyderstwa, a usta wyrzuciły słowa: „Oto rzeczy—przepatrz pan czy wszystkie? a tu pieniądze, daj mi pan zakwitowanie z odbioru i za otrzymaną żywność ostatniego miesiąca.“

„Czy już wysyłacie mnie w drogę?“ — zapytałem niespokojnie, ciekawy, z pomieszaną radością i obawą.

„W drogę,“ — odpowiedział sucho.

Rzeczy przejrzałem, podpisałem, kapitan uklonił się ze zwykłym uśmiechem i poszedłem na dziedziniec z eskortującymi żandarmami. Przed wrotami więzienia stała dorożka; posadzili mnie w niej żandarmi i sami siedli obok; woźnica krzyknął na konie, pobiegły, mijając żołnierzy, koszary, cerkiew, bomby, w kupki poskładane i przez bramę nad mostem przekopowym wyjechały na plac, otaczający cytadelę *).

*) Cytadela warszawska była świadkiem bardziej tragicznych scen, niż bastylla paryzka albo więzienia weneckie. Jej historia jest historią męczarni niewypowiedzianych. Od śmierci Karola Levitoux, który w r. 1841 spalił się w 21 numerze, nie było roku, w którymby jej historia nie wzbogaciła się faktem wielkiej boleści. Wspominamy niektóre: Pani Lempicka, aresztowana w sprawie Zawiszy, umarła wskutek śledczych udęczeń w cytadeli; w tej sprawie były także uwięzione Karwosiecka i Skwarska. W skutek takichże udęczeń umarli w cytadeli: Piotr Petliński;

Niebo było ranne, pogodne, spojrzałem na Warszawę, na plac, porośły zielonutką trawą i serce ścisnęło się straszmem wspomnieniem. Na prawo od drogi jadąc z cytadeli do Warszawy, w roku 1846 w marcu wzniesiono szubienicę, słupy jej groźnie w oblicze miasta patrzyły. Warszawa była jak obozowiskiem, w nocy ognie biwaków pałały na wszystkich rynkach, placach, przy nich polyskiwały wyczyszczone armaty; na ulicy w wieczornej porze bezludno, czasem tylko jakaś istota z zapaloną świecą w latarce przemknęła szybkim krokiem, jakby twogą gnana. Warszawa tak zwykle wesola, wówczas posmutniała—teatr prawie pusty, balowej muzyki i szynkowej katarynki nie było słychać, a na ulicach, prowadzących do cytadeli codziennie smutny widok eskortowanych więźniów zwracał uwagę przechodniów.

Przypominam sobie, na ulicy Miodowej w pochmurny marcowy dzień tego roku widziałem kilkanaście wozów z więźniami; obok więźniów siedzieli żandarmi a w około jechali z długimi pikami kozacy. Na jednym wozie siedział siwiuteńki w niebieskiej konfederatce starzec, wypatrzony wzrok zwrócił gdzieś daleko przed siebie, cichy

Adolf Chrzanowski; Józef Opanowicz, kleryk; Handwerker, leśniczy z Szadkowskiego w r. 1846. W czasie mojego więzienia umarł sąsiadujący ze mną w numerze 9. Jan Nepomucen Fijałkowski w r. 1854, nauczyciel gimnazjum szczebrzeszyńskiego; Wiktor Wydrowski zmarł także w cytadeli w 1854. Jan Krzywicki, Józef Rakowski umarli 1846; Domaszewski i wielu innych.

i spokojny zdaje się nie widział ani ludzi, ani miasta. Obok niego siedział zapewne syn, wesoły młodzieniec z białym zawieszistym wąsem; ten śmiało oglądał się i wzrokiem badał przechodzące tłumy. Na innym wozie siedział chłop w krakowskiej sukmanie, na innym ksiądz; na innym dwóch młodziutkich, dziecinnego wyrazu chłopców, dalej jeszcze wiele wozów, wypełnionych więźniami bladymi, przejechało przedemną do cytadeli, z której obecnie wyjeżdżam.

Och! smutny to był rok 1846! w Warszawie gromady żołdaków, znaczna liczba uwięzionych, z pod Karpat przychodziły okropne wiadomości o rzezi, z Krakowa, z Poznania, z Siedlec wiadomości urońskiego powstania, zewsząd aresztowania, zewsząd cierpienia i boleść.

Otóż to w ten rok klęsk i smutków narodowych pamiętam na tym placu wzniesioną szubienicę! Patrole przebiegały ulice miasta, tłum ludu niespokojny i zatrwożony zebrał się na ulicy okrążającej plac cytadeli, rotę żandarmów i piechoty odpychały go i zastaniały procesją wychodzącą z bramy, przez którą dopiero przejechałem. Szli oficerowie, żołnierze, urzędnicy, kat, kapucyn, pastor, pop, dalej więźniowie, a za nimi znowu żołnierze; ten orszak wszedł na szafot pod szubienicę; wkrótce zwróciły wzrok dalekiego ludu dwa wiszące ciała w bieli: były to trupy powieszonych: Kociszewskiego i Żdzarskiego. Innym dwom założono stryczki na szyję i wtedy przeczytano im wyroki zamieniające karę szubienicy na karę robót

w kopalniach syberyjskich; byli to: Stefan Dobrycz i Karol Ruprecht; innych znowu podprowadzono pod szubienicę i czytano im wyroki do robót jakoto: Michałowi Mireckiemu, Andrzejowi Deskurowi i Janowi Lityńskiemu.*) Okropny to był widok śmierci i cierpienia znacznych pracowników niepodległości Poski, we wszystkich też oczach widziałeś łzy a w twarzach ból niewypowiedziany.

Z tem wspomnieniem przejechałem plac, gdy dorożka zaturkotała na bruku i wjechała na ulicę Zakroczymską. Było jeszcze wcześniej, a dorożki i powozy zrzadka jeszcze huczały po bruku. Dorożka pędem leciała pomiędzy domami, patrzyłem wytężonym wzrokiem na każdego przechodnia, na każdą kamienicę, w każdej ścianie żegnałem mur znajomy, w każdym przechodniu ziomka i brata. Ale nikt mnie z przechodzących nie znał; każdy, rzuciwszy wzrokiem ciekawym na więźnia, na żandarmów, przechodził jakby się lękał, żeby szalona dorożka z sobą go nie zabrała. Tymczasem wjechaliśmy na Nowe miasto, na Freta i na Gołębią ulicę, na Stare miasto, gdzie targ już rozpoczął się, stragany pootwierano i gwar przekupek głuszył turkot wozów. Wpatrywałem się całą duszą w lud na rynku, chciałem w ostatniej chwili pobytu w ojczyźnie wbić sobie raz na zawsze do pamięci jego postawę i wyraz.

*) Jan Lityński był bity pałkami, odebrał ich 500, umarł na zapalenie mózgu w rudniku Katai, niedaleko kopalni nerczyńskich, roku 1849.

Dorożka bieży ś. Jańską ulicą i tu już ruch znaczny; między gromadami przechodniów, zatrzymana widokiem wywożonego więźnia, nagle stanęła kobieta w żałobie, zwróciwszy wzrok ku mnie. Suknia i kapelusz na niej czarne, obszyte białymi taśmami, twarz blada i smutna, patrzyła na mnie i płakała; żegnała i błogosławiła mnie świętą łzą zacna nieznajoma. Dorożka przejechała, a ona jeszcze stała i patrzyła za mną; byłem jej wdzięczny za to współczucie, za tę łzę—ona jedna wśród tłumu nie bała się zapłakać.

Krakowskie przedmieście, pomnik króla Zygmunta III i zamek królów, a dziś... mieszkanie obcych ciemiężców—żegnajcie mi drogie miejsca! O trudno patrzeć na was bez łzy w chwili wywożenia na dalekie wygnanie!

Przez Nowy Zjazd zjechała dorożka nad Wisłę, przez most powolnie jechała, zatrzymywana natłokiem wozów, bryczek, powozów i ludu.

Saska Kępa umiała się, nadbrzeżne krzaki błyszczą zielonością, powietrze świeże i zdrowe, bo to dzisiaj 3 maj. Wisła kołuje i przewala swoje fale, zapach nad jej wodami—jakżeż ładny świat, nigdy go nie widział tak świeżym i miłym. Na brzegach Wisły parochód dymi, mnóstwo tratw, na których roją się wesołe flisy, berlinki wieją żaglami i flagami—a na górze świetna, skupiona Warszawa najeżyła się wieżami i krzyżami, które przeglądają z tumanów mgły porannej; na ostatnim krańcu miasta stoi cytadela, czerwona, jakby krwią opluta, jednoroczne moje mieszkanie za kratami, bez widoku obłoków, ziemi i ludzi!

Niedaleko za mostem dorożka zatrzymała się przed budynkiem zwanym „Zborny punkt“ i zaprowadzili mnie do kancelaryi. Tu rozkazano mi rzucić cywilny ubiór, co uczyniwszy podano mi ubiór rekruta, zostałem bowiem zawyrokovany na służbę wojskową do Nerczyńska. Płaszcz szeregi z szarego grubego sukna, z guzikami i kołnierzem z tegoż sukna, w tyle zszyty; czapka okrągła bez daszka z czarnawego sukna, wydęta, jak balon; dano mi jeszcze buty, koszule skarbowe z gróbeżnego płótna, jednym słowem całe ubranie niewolnika. Moje własne rzeczy major rozkazał mi spieniężyć; naglony do prędkiego wyjścia w drogę a razem i do prędkiej sprzedaży, oddałem je tym panom prawie darmo. Na prozbę doczekania się rodziny z Warszawy i pozwolenie pożegnania się z nią, odpowiedzieli, iż nie mogą jednej godziny mnie zatrzymać, gdyż w skutek rozkazu Górczakowa natychmiast muszą mnie w drogę wyprawić. Tak więc przebrany i zmieniony do niepoznania, między dwoma końmi uzbrojonych kozaków, przechodziłem przez Pragę, na drogę wygnania, żegnając może na zawsze Warszawę i Polskę.

Praga z ulicami wytkniętymi a niezabudowanymi nie może przyjść do siebie po rzezi 1794 roku; na znacznej jej przestrzeni rozrzucone i niby piskłeta rozpędzone z gniazda domy nie trzymają się kupy. Na targu żydzi handlują i krzyczą, chłopcy umawiają z kupcami—stragany z chlebem, z bułkami, z kwiatami i włoszczyzną zalegają ulice, dalej wozy z nabiątem i drzewem, kucharki i panie ciżbią

się, a hałas i gwar, jak zwykle na targu—mało jednak widziałem, osłonięty kozackimi końmi, a serce wówczas pod szynelem biło mi tak mocno, jakby się chciało wyrwać z ciała, wylecieć i rozbić na tym bruku.

Szedłem na wygnanie, opakowany ciężarem rzeczy wojskowych, pod strażą kozaków, osłabiony więzieniem, wybladły od murów i patrzyłem tęskno na Warszawę, tę Magdalenę narodu, rozpustnicę i pokutnicę zarazem. Bieleje i czerwienieje wspaniale zabudowana na górze, ozdobiona, barwista, siedzi zalotnie ponad Wisłą i huczy namiętnością, promień wiosennego słońca rozpędza nad nią mgły i ukazuje żelazne krzyże; kopuły i szyby okien błyszczą, skupione i ściśnięte domy Starego miasta czernią się, tam znowu wybielone, wyzłoczone, ubrane zielonemi gromadkami drzew, dają widok niezwykle i uderzający; a naokoło jak wesoło, niebo błękitne, chmurki łabędziowe a Wisła „modra z daleka”—piękną jest nasza Magdalena! Niosę ją w swojej wyobraźni, w barwach świetnych i ślicznych, jakie jej daje życie namiętne, młodzieńcze i płocze—razem łzawe, smutne i pokutnicze. Juliusz Słowacki nazwał Warszawę sercem Europy, bo też w niej każda myśl pozna się sercem, drga, tętni, bije niespokojnie i urzeczywistnia się po młodzieńczemu!—we łzach nie tonie, we krwi się nie topi, w więzieniu nie usycha, w smutku nie mdleje, w wesołości szaleje, chwije się, ale nie nęka, wiara w Opatrzność, w prawdę Bożego słowa, podtrzymuje ją w wąt-

pliwościach, w klęskach i boleściach!—Kozacy nagłą mnie i popędzają, ależ trudno oderwać się od widoku Warszawy, trudniej jeszcze w chwili wygnania, w chwili pożegnania może na zawsze pięknej oblubienicy; szedłem więc powolutku, starałem się skorzystać z każdego kroku, na każdym kroku chwyciłem nowy rys miasta i jego okolic; niech kozacy nagłą, popędzają, byleby dłużej patrzeć na nią!

Pół mili od Pragi kozacy zatrzymali się dla wypoczynku; szosą bieży pragska dorożka, kobieta w niej siedząca nagli woźnicę, wózek pręciutko się toczy, nadbiega ku nam; kobieta ledwo mie ujrzała, wyskoczyła z płaczem i krzykiem na szosę, rzuca mi się na szyję, ścisła i całuje—była to moja siostra Honorata; odprowadzi mnie kilka mil; dowiedziała się o wywiezieniu mnie z cytadeli i poгнаła za mną.

Biedni! co są przedmiotem łez, biedni ci, którzy się muszą żegnać,—a jednak bez tych łez, bez tego pożegnania przykro iść w drogę; ono boli, ale podnosi, umacnia i, jak błogosławieństwo, podtrzymuje między obcymi. Człowiek jest zawsze samolubnym, nawet w chwili rozrzewnienia, w tęsknocie, w bólu, i nie umie ani radości ani bólu sam przenieść. Wie, że ból jego sprawi cierpienie ulubionym mu, że boleją, widząc jego cierpienia,—a jednak mimo chęci i woli przeciwnej, miłość własna raduje się sama w sobie, jeżeli widzi iż cierpienia jej znajdują współzucie. Tak—nie chcemy, a jednak nam miło, gdy za nami płaczą! że też to

człowiek w najczystszych uczuciach i natchnieniach nie może się wznieść do zupełnej miłości chrześcijańskiej i zapomnienia samego siebie; wszystko najczystsze, najświętsze, jeżeli przechodzi przez serce lub myśl człowieka, musi się omazać i spospolitować miłością własną. Staralem się uspokoić moją siostrę, tłumiliem jej łzy, — ale, gdy zobaczyłem nowy ich zdrój, płakałem sam nie tylko z bólu, ale... ale... i z radości, że tak jestem kochany.

Ruszyliśmy w dalszą drogę; tuż przy drodze stoi słup żelazny, pamiątka wybudowanej szosy, człowiek dalej pomnik żelazny, ozdobiony orłami, napisami,—wystawili go nieprzyjaciele na znak krwi niewinnego ludu, którą na tych polach rozlali.

Pola to grochowskie—niegdyś zryte kulami, zdeptane stopami, zmoczone krwią, zawalone kośćcami, dzisiaj zaś zorane i zasiane. Zboża zieloniutkie, jak nadzieja, pokryły groby poległych;—znana olszynka, gdzie najmężniejsi ginęli, okrywa się wiosennym liściem, skowronki, wbite w powietrze, nucą niebiańską piosnkę, cicho i młodo na tych polach męztwa i chwały!

Bitwa grochowska, w wojnie 1831 r., dowiodła nieprzyjacielowi, jakiej obrony w Polsce spodziewać się musi—jest to epizod najpiękniejszy w tej kampanii, która pomimo tylu zwycięstw nie doprowadziła nas do niepodległości.

Rzecz dziwna, że my zwyciężyć umiemy, a nie umiemy z bitwy skorzystać; gdy przypominam sobie nasze wojny i bitwy, mnóstwo znajduję takich walk, w których zostaliśmy zwycięzcami, ale które

nam nie przyniosły wypadków i korzyści stanowiących; zadawalnia nas chwała, a wypuszczamy z pamięci, że korzyści są najtrwalszym i napewniejszym gońcem chwały. Uderzyć, zwyciężyć, to nasza rzecz,—ale, zwyciężywszy, gnać nieprzyjaciela, nie dawać mu wypoczynku, wielkimi poruszeniami zmusić go do cofnięcia się, do przyjęcia bitwy, któraby mu nie dawała możności wygranej, walczyć, żeby zniszczyć do ostatka, mieć go na swojej łasce—tego nie umiemy. Umiemy się bronić, ale nie zaczepiać—a jest to powszechnie znanym pownikiem, że wojna, która chce dojść do stanowiących rezultatów, musi być zaczepną.

Gdzie oko zwrócisz, wszędzie miejsca mówią ci o wypadkach; każde drzewo, każde ździebełko, piasek i pagórek w tej okolicy, jest historycznym. Niedaleko Warszawa, stolica narodu, głowa Polski a serce Europy, z długą swą historią, bitwami, powstaniami, sejmami i szturmem 1831 roku;—niżej widać Pragę, która przypomina szturm Suwarowa i barbarzyńską rzeź spokojnych mieszkańców, jaką się zakończyło świetne i chwalebne powstanie Kościuszki; tam znowu miejsca szwedzkiej bitwy, widać i Białolękę pod borem, za polami grochowskiemi pole bitwy wawerskiej—święta ziemia, każda jej stopa zmieszana z kością i krwią, należy do historii, do chwały narodowej! Szedłem drogą, którą szły nasze wojska do zwycięstwa, ożywione duchem wolności i niepodległości polskiej, i każdy krok na niej odznaczyły odwagą i cnotą—tą drogą, po której później wieziono dzielnych zapaśników

wolności na wygnanie, drogą, przez którą wiozą i pędzą aż dotąd śmiałych pracowników dobra i życia narodowego. Pamiętne miejsca i droga, ile to życia zginęło tutaj, ile boleści przeszło, ile wiary i myśli odżyło?

Zjechaliśmy z szosy na prawo, przez piaski i sosnowy bór na drogę samotną i pustą. Bór sosnowy ponury w czasie wiosny, igły ciemne, po wesołej i jasnej zieloności podobać się nie mogą; drzewa stare, rosochate, „klaskają“ konarami i rozszłały po powietrzu zapach żywiczny; pod nimi sściele się mech popielaty, zasypany zeszlęmi igłami i szyszkami; pomiędzy mchem ukrył się kwiateczek, gwoździk czerwony, w kilku miejscach osobnemi grupami rosną krzaki liściaste, wyświeżone i kwiatem okryte; na pagórkach drobniutki piołun, młoda macierzanka, szeroki zaś rozchodnik nakrył żółte niewdzięczne piaski. Nad drogą, między sosnami, na góreczce piaskowej, stoi krzyż z umęczonym Chrystusem — ciągnęło mnie uczucie pod stopy krzyża, do modlitwy uroczystej za siebie, za ulubionych i za naród, — byłbym się szczerze modlił, bo nademną krzyż i umęczony Zbawiciel, który jeden tylko umie pocieszać zniekanie duszy, cierpienie ciała i boleści wszelkiego rodzaju.

Nie mogłem się jednak pomodlić, sproсна rozmowa kozaków stłumiła i zeszpeciła głos mojej duszy; jedźmy dalej... posłałem tylko westchnienie do krzyża nad drogą, a wózek ze mną i zapłakaną siostrą, okrażony kozakami, ruszył zasypującym się kolejami w piasku.

Wyjechaliśmy z boru, za stawem stoi ubożuchne miasteczko z nowym kościołem i pałacem żółtym w ogrodzie, ponad wodą; płaszczyna, na której stoi Okuniew, cicha, samotna, okolona borami. W pamiętnym roku 1831 i pod Okuniewem krew się lała. — Dzisiejszy nocleg przypada w Okuniewie. Budynek na pół rozwalony, murowany, uzbrojony w kraty, postawiony za miastem, jest miejscem nocowania więźniów; kozacy przed zachodem słońca obiecali mnie nie zamykać, mogłem więc jeszcze pozostać na świeżem powietrzu. Strudzone oko jednostajnym widokiem murów, puściłem po Bożej ziemi; łęgi ślicznie zazieleniły się, młode bydelko, domowe ptactwo powraca do chat, drzewa pachną, jakby były pokropione wonnym olejkiem i kwitną, a jak ładnie! ptaki w powietrzu się gonią, śpiewają, wesołe i radosne z Bożego słońca i życia, które wonią, barwą, kwieciem, ruchem podniosło się na ziemi i nad ziemią. Długo nie widziałem tych piękności — i jakże mi tęskno było za nimi? w więzieniu byłbym połowę krwi swej oddał za pokazanie mi cudów natury; gdy zobaczył kawał obłoku przez szybę zamalowaną, tom go witał, jak zesłanie lub gościa wesołej myśli! Lubuje się też dzisiaj moje oko, kąpie w zieloności, unosi się jakby nad niewidzianemi nigdy cudami, a dusza się raduje i czuje nieskończoną moc swoją. Czemuż jednak moja radość jest smutna? co ją psuje? czemu pozwala się psuć? Drzewa przyćpione do swojej ziemi, porzuca ją wraz z życiem, ptactwo weseli się w powietrzu, bo jest

wolne i na drugi rok znowu będzie bujało pod tem samem niebem, nad temi samemi polami, wodami i borami,—ja zaś na drugi rok nie będę widział swojej ziemi, nie będę oddychał swoim powietrzem— to chociaż cieszę się patrząc na piękne oblicze ziemi, ale smutnie się cieszę, jak przy pożegnaniu,— serce zbolące i wymęczone odświeża się świeżem powietrzem, młodą roślinnością, ale przytem tęskno się rozrzewnia. Poleciałbym na to błonie — och! jak szalony przycisnąłbym się do murawy, napił powietrza; podnoszę się, idę... ale za mną straż,— siadłem więc znowu i chociaż pełną piersią oddychałem, ale mi było ciężko. Słońce znížone ku ziemi pozwala patrzeć na siebie, promienie ukośnie rozrzuciło między igły sosnowe, — chmury i chmurki białe i szare ozłociły się, uczerwieniły,— pasy fioletowego, pomarańczowego światła umalowały niebiosa,—na ziemi ptactwo ogólnym krzykiem zaśpiewało, woń ziół i drzew mocniej buchnęła w powietrze! W kościółku ubogiego miasteczka dzwonią na Anioł Pański,—jak dźwięczny i giętki głos dzwonka, dzwoni mi w sercu, wyprowadza z niego melodyą, ciche, tęskne uczucia i łączy z ogólną harmonią wieczora, która i Bogu musi się podobać, bo ją tak ładnie stworzył.

(„Podróż więźnia etapami do Syberyi“—Agaton Giller.—Lipsk, 1866.)

POCHÓD NA SYBIR.

Byliśmy bardzo przygnębieni, gdyż opuszczaliśmy naszą ukochaną ojczyznę na zawsze, bo według brzmienia wyroków, pozbawiających nas wszelkich praw ludzkich, po odbyciu wyznaczonej kary w ciężkich („katorżnych“) robotach, mieliśmy pozostać aż do śmierci posieleńcami Syberyi.

Wagony, w których zajęliśmy miejsca, były urządzone w sposób następujący: po środku wagonu, wzdłuż znajdowała się podwójna ławka, na której umieszczono nas tak, że siedzieliśmy w pośrodku wagonu, plecami do siebie, jeden przy drugim. Naokoło ścian zewnętrznych były umieszczone także ławki, na których, przy ścianach dłuższych siedzieli żołnierze z karabinami jeden przy drugim, zaś na ławkach przy poprzecznych ścianach wagonu siedzieli jeden przy drugim żandarmi, uzbrojeni w kawalerzyckie pałasze i rewolwery, naturalnie wszyscy z nabitą bronią.

Kapitan żandarmeryi przyniósł rano i porozdawał nam strawne (tak zwane „karmowe“) na dwa dni po 75 kop. na dzień. Żywność kupowaliśmy sobie na niektórych stacyach od przekupni, którzy podchodzili do wagonów z różnemi wiktuałami.

Przed Wilnem zauważyliśmy pociągi dążące do Warszawy już ośnieżone. Następnego dnia rano mieliśmy przejeżdżać przez Psków, niektórzy więc towarzysze prosili kapitana, ażeby nam pozwolił wysiąść na dworcu, ażebyśmy się mogli czemś ciepłym posilić, co też kapitan obiecał.

Gdyśmy rano przybyli na dworzec pskowski, kazał kapitan opróżnić zupełnie salę I-szej klasy, gdzie nas wprowadzono. Tu niektórzy kazali sobie podać jaki posiłek; ja zaś prosiłem o filiżankę kawy, przypuszczając, że to będzie najtaniej, przy czem zjadłem jeden rogalik, lecz jakież było moje przerażenie, gdy kelner zażądał za to 85 kopiejek.

Tutaj zdarzyła mi się niespodziewanie doskonała sposobność do ucieczki, lecz ani mi przez myśl nie przeszło z niej korzystać, a mianowicie: odszedłszy z żołnierzem na stronę, nie zauważyłem trzeciego dzwonięcia. Żołnierz zaś, nawet nie krzyknąwszy za mną wskoczył do wagonu, pozostawiając mnie samego. Gdym wyszedł i zobaczył, że pociąg już w ruchu, nie namyślając się długo, wskoczyłem jeszcze do wagonu I-szej klasy, w którym niezauważony przez nikogo, dojechałem do Petersburga. Tu dopiero usłyszałem wielki hałas „uszo!“ „uszo!“ ale gdym się zbliżył do krzyczących, przyjęli mnie z wielką radością.

Do Petersburga przybyliśmy 29 listopada rano. Zaprowadzono nas do jakiegoś więzienia na całą prawie dobę i tu nam dano jeść. Dnia następnego, tak samo jak z Warszawy, lecz już z innym konwojem, wyprawiono nas do Moskwy. Do Moskwy przybyliśmy dnia 1 grudnia rano.

Gdyśmy wysiedli z wagonów, już był przeznaczony dla nas konwój dość liczny na miejscu, musieliśmy do przeznaczonego więzienia maszerować pieszo przez miasto 8 wiorst. Z początku dziwiliśmy się tak licznemu konwojowi, lecz gdyśmy weszli w ulice, dopiero poznaliśmy, że uczyniono to dla naszego bezpieczeństwa, gdyż przez licznie gromadzone tłumy musiano się prawie przemocą przeciskać.

W Moskwie zatrzymano nas kilka dni i dawano nam jedzenie. W przeddzień wyjazdu t. j. 3 grudnia zapytano nas jakiej odzieży kto z nas potrzebuje, więc prosiłem o spodnie, gdyż mrozy dochodziły tu do 25 stopni i otrzymałem aresztanckie z grubego szarego sukna.

Potem przyszedł do nas jakiś wyższy oficer żandarmski i oznajmił nam, że nazajutrz mamy wyruszać w dalszą drogę pocztą do Tobolska, i że ta podróż ma trwać 24 dni, przytem dodał, że mamy wydane strawne („karmowe“) na 24 dni po 25 kopiejek na dobę, że te pieniądze u siebie ma kapitan żandarmski, który nas będzie konwojował. Zarazem uprzedził nas, że jeżeli będziemy dłużej w podróży, to nie mamy prawa upominać się o więcej, natomiast jeżeli wcześniej do Tobolska przy-

będziemy, to nam kapitan bez żadnych zastrzeżeń zapłaci za 24 dni.

Następnego dnia przeprowadzono nas znów pod silnym konwojem, na dworzec [moskiewsko-niżnowogorodzki i znowu do dworca maszerowaliśmy prawie ośm wiorst.

Tu nas zaraz wsadzono do wagonów, eskorta zaś nasza składała się już tylko z samych żandar-mów, a to po dwu na jednego wygnańca, a ponadto jeszcze osobno kapitan i feldfelbel.

Na drugi dzień t. j. 5 grudnia rano przybyliśmy do Niżnego-nowogrodu, zaraz też prędkim krokiem udaliśmy się nad Wołgę, której tylko brzegi były zamarznięte, środkiem zaś płynęła wielka ilość kry; łodzi kilkanaście czekało już na nas, zaraz też nas na nich ulokowano i przewoźnicy ruszyli niezwłocznie z miejsca, przy dość silnym wietrze i przy 28 stopniach mrozu.

Każdy z nas wstępując do łodzi polecał się Bogu, gdyż w rzeczy samej przeprawa była bardzo niebezpieczną, lecz wskutek nadzwyczajnej zręczności przewoźników w omijaniu kry i rozbijaniu lodu, po kilkogodzinnej przeprawie dostaliśmy się szczęśliwie zupełnie przeziębnięci, na ląd drugiego brze-gu, skąd po wylądowaniu udaliśmy się bardzo szybkim krokiem na stację pocztową, w nadziei, że tam się trochę rozgrzejemy; lecz tutaj już czekały w pogotowiu na nas furmanki, a kapitan, nasz komendant, kazał nam niezwłocznie wsiadać do tak zwanych kibitek („teleg“) a to w ten sposób, iż na każdej kibitce zaprzężonej trzema tęgimi koń-

mi, mieścił się jeden katorżnik i po dwu żandar-mów, na pierwszej siedział feldfelbel, na ostatniej zaś Gudzińska z kapitanem i podoficerem. Po kilkunastu minutach, gdy kapitan zauważył, że wszystko w porządku, dał znać gwizdawką, a na ten sygnał wszystkie kibitki z kopyta galopem ruszyły.

Ponieważ mrozy już były ogromne, a śniegów bardzo mało, więc jechaliśmy kibitkami po ogromnej grudzie; po kilku stacyach takiej jazdy, byliśmy tak zbici i zmordowani, iż wręcz oświadczyliśmy kapitanowi, że tak nie pojedziemy dalej, że może robić z nami co mu się podoba. A że i on nie był elastyczniejszym od nas człowiekiem, więc po długich korowodach stanęło na tem, że jeszcze tę stację pojedziemy kibitkami, a dalej sańmi, co też rzeczywiście nastąpiło, gdyż zaraz kapitan zalegrafował, ażeby na następnej stacyi czekało na nas tyle a tyle furmanek z sańmi.

Kapitan całą naszą podróż urządził w ten sposób, że gdyśmy się z sani na gotowe już inne sa-nie przesiadali, on tymczasem szedł na stację i te-legrafował do stacyi następnej, ażeby tam czekało na nas w pogotowiu tyle a tyle sań; wskutek tego zarządzenia, przyjechawszy na stację, tylko tyle czasu traciliśmy, ile było potrzeba przesiąść się. W ten sposób robiliśmy przez dobę z górą dwieście wiorst. Ale gdyśmy się chcieli napić gorącej herbaty, co było naszym głównem pożywieniem i środkiem rozgrzania się, natenczas porozumiewaliśmy się z kapitanem, a tenże telegrafując po furmanki, dodawał zarazem, że ma być na tyle a tyle

osób gorąca herbata; więc przybywszy na stację już zastawaliśmy kilka kolosalnych samowarów kipiących.

Najgorzej było z jedzeniem. Wprawdzie zaopatrywaliśmy się w niektórych miasteczkach, u przekupni, którzy dowiedziawszy się od izwoszczyków (furmanów), że w tym a tym czasie nadjedzie partya katorżników, schodzili się z wiktuałami na stację i od nich kupowaliśmy chleb a nawet mięswo, ale właśnie gdyśmy takowe chcieli w drodze jeść, pokazało się, że wszystko było zamrożone na kość; z wielkim przeto mozołem zabieraliśmy się do rozgrzewania w piecach choć na tyle, ażeby można je było ugryźć, przez co traciliśmy zawsze wiele czasu. Więc kapitan postanowił zatrzymać się dla posiłku, tylko po miastach, gdzie kupując pożywienie od przekupni nie potrzebowalibyśmy go odmrażać.

Sańmi po grudzie jechaliśmy jeszcze kilka stacyi, aż wreszcie dotarliśmy do śniegów i wysmienitej sanny. Dopiero wtedy zaczęła się szalenie-waryacka moskiewska jazda. Góry Uralskie przelecieliśmy, nawet nie rozpoznając, że jesteśmy w górach, tak szalenie z góry i na górę lecieliśmy, w każdym razie prędzej, niż po równinach.

Z większych miast przejeżdżaliśmy przez Kazań, Wiatkę, Perm, Jekaterynburg i Tiumeń już w Syberyi.

Co się tyczy mnie samego, to muszę wspomnieć, że darowane mi przez moskiewskiego kapitana Miłkowa w cytadeli palto i buty i otrzymane w Mo-

skwie aresztanckie spodnie, nie chroniły mnie dostatecznie od zimna, wobec ogromnych mrozów, co też kapitan, a nasz komendant zaraz spostrzegł, a chcąc widocznie nas wszystkich odstawić żywych do Tobolska, wybrał dwóch starszych wiekiem żandarmów i polecił im czuwać nademną, abym w drodze nie zamarł. To też moi żandarmi, z których jeden nazywał się Galkin, wzięli mnie w troskliwą opiekę i gdyśmy przybyli na jaką stację, zaraz jeden z nich zeskakiwał i przeglądał wszystkie czekające na nas sanie i gdzie znalazł najwięcej słomy, tam kazał naszym saniom podjeżdżać, otuliwszy mnie dobrze naokoło słomą, kładali się nadto po obu stronach koło mnie i jeszcze połami swoich tołubów utulali mnie, wskutek tego nigdy bardzo nie przeziębłem i tę drogę zdrów, bez najmniejszych odmrożeń członków, przebyłem.

Dnia 18 grudnia rano przybyliśmy do Tobolska, pierwszego gubernialnego miasta już w Syberyi. Ulokowano nas w więzieniu tak zwanem „peresilnem“, kapitan zaś nasz komendant wypłacił nam resztę „karmowego“ do 25 dni, pomimo że nasza podróż trwała tylko dni prawie 13. Dowiedzieliśmy się tu także, dlaczego nas tak nadzwyczaj szybko z Moskwy do Tobolska wieziono, a mianowicie żandarmi nie pobrali „karmowego“ tak jak my dziennie, tylko od ujechanych wiorst, przeto im więcej wiorst na dobę przebyliśmy, tem większe mieli dyety; to też pewnie z powrotem, także tak prędko a może i prędzej jechali.

W Tobolsku dowiedzieliśmy się, że tu pozostaniemy dni kilka i że z Tobolska rozpoczniemy dalszą podróż piechotą etapami.

W Tobolsku gromadzili się zesłańcy z całej europejskiej Rosyi i dopiero tu formowano partye od 200 do 400 ludzi i w pewnym stałe już oznaczonym dniu wysyłano je piechotą etapami i etapnym porządkiem.

W tem miejscu muszę wyjaśnić co to właściwie oznacza „podróż etapami,” o której wszyscy w Polsce słyszą i mówią, lecz ten tylko wie dokładnie co to jest, kto ją sam odbył.

Oto przy głównym gościńcu, począwszy od Moskwy, aż do Nerczyńska (we wschodniej Syberyi) pobudowano, podobno jeszcze za czasów cara Piotra Wielkiego, więzienia z drzewa na stacyach odległych od siebie 20 do 35 wiorst. Te więzienia są dwóch typów: jedne mniejsze, o czterech izbach na około otoczone palisadą prawie sześć metrów wysoką, w środku której od frontu znajduje się mocna brama, obok zaś, niedaleko znajduje się drugi budynek, tak zwany „koszary dla wojska” i to się nazywa „póletap.” Tutaj partya wygnańców, składająca się co najmniej z 200 ludzi, konwojowana przez kilkudziesięciu żołnierzy piechoty i około 20 kozaków ze swoim „kamandirem” naturalnie oficerem, nocuje tylko; tu też po nią przychodzi świeży konwój z następnego etapu, przeprowadzający ze sobą partyę wygnańców powracających („obratnych”) lub rekrutów do Rosyi, którzy również na póletapie w osobnej izbie nocują; tak, że

na póletapie nocują właściwie dwie partye: jedna wygnańców, a druga powracających lub rekrutów i naturalnie dwa konwoje. Następnego dnia konwój, który przyprowadził partyę wygnańców, zabiera partyę powracających i prowadzi ich do siebie z powrotem, natomiast konwój z następnego etapu, który przyprowadził partyę powracających, zabiera partyę wygnańców i prowadzi ją do siebie na następny, ale już „etap,” który jest również jak póletap z drzewa wybudowany, ale nieco większy i większe ma naokoło podwórze, które jest także otoczone w około wysoką szpiczastą palisadą; we frontowej zaś ścianie palisady znajduje się duży budynek drewniany, w którego jednej połowie mieści się pomieszkanie dla „komandiera” oficera, nawet rangi kapitana; w drugiej zaś połowie mieszczą się koszary dla stu stałych żołdatów. Z żołdatów tych mieszka tu tylko mała część żołnierzy bezżennych („chałastych”) reszta zaś, o wiele większa część żonatych mieszka na wsi, gdzie wszyscy mają swoje gospodarstwa, a ponieważ i z każdej partyi mają dość duże dochody, więc powodzi się im bardzo dobrze. Natenczas wszyscy żołdaci byli już w starszym wieku i byli najmniej po 20 lat służby, a prawie każdy z nich odbył wojnę krymską. Garnizony te na etapach były stałe. Partya przeprowadzona na „etap” ma tutaj dniówkę t. j. cały dzień odpoczywa; po jednym dniu odpoczynku, następnego dnia wyrusza partya znowu na póletap; po nią przychodzi konwój z następnego etapu i tak w nieskończoność, aż do uprzykrzenia. Każdy więc wy-

gnaniec wzdycha, ażeby choćby nawet w najgorse, ale na stałe miejsce przybyć. Podróż etapami musi się odbywać tak regularnie, jak najlepszy zegarek, partya żadna nie może się zatrzymać na miejscu dłużej, jak tylko tyle ile jest przeznaczony, nawet gdyby największe zawieruchy lub mrozy były, gdyż wtedy partya następna naszłaby na nią i powstałoby przepełnienie i rozgardyasz na dalszych wszystkich etapach. Zresztą wobec odwiecznego urzędzenia byłoby to nawet niemożliwe.

Tylko na wiosnę, gdy ogromne rzeki sybirskie zrzucają swe lody, co trwa dwa do czterech tygodni i w jesieni gdy rzeki zamarzają, natenczas przez te rzeki nie można się zupełnie przeprować, następuje wtedy tak zwana „wiosnówka“ lub „osienówka“ to znaczy: komendant ostatniego przed rzeką etapu widząc, że już partyi przez nią nie przeprowi, telegrafuje do wszystkich etapów o wstrzymanie partyi na miejscu wskutek czego, wszystkie partye zatrzymują się na tym etapie, na którym je zastała depesza i to aż do czasu, w którym znowu nadejdzie depesza, że zaraz mają wyruszyć. Ten porządek trwa również od wieków. Na takich wiosnówkach i osienówkach partye traciły najwięcej wygnańców wskutek głodowego tyfusu i innych chorób, które nieraz partyę do połowy zmniejszały.

Nadmieniłem „wskutek głodowego tyfusu,“ więc muszę to wyjaśnić. Jak już wyżej wspomniałem, etapy były budowane zdaje się jeszcze za Piotra Wielkiego, naturalnie i „karmowe“ dla wygnańców także musiało być w tym czasie ustanowione, wy-

sokość zaś tego komornego ustanowiona była według zdaje się stosunków każdej gubernii z osobna i tak: na jednego wygnańca i na jedną dobę płacono karmowe: w gubernii Tobolskiej 7 kopiejek, Krasnojarskiej (Jenisejskiej) 3½ kopiejki, a Irkuckiej 4½ kop.

W drugiej połowie zeszłego wieku trudno było czasem kupić za te pieniądze 1 funt chleba, a cóż dopiero, gdy taka wiosnówka lub osienówka spotkała partyę w niezaludnionym stepie, lesie, lub jakiej ubogiej wiosce, natenczas i po kilka dni nie było co jeść, zwłaszcza, gdy sałatki, które po większej części wygnańcom na etapie dostarczały żywności, jej cenę podniosły. Dopiero w połowie 1864 roku, gdy już zawiele wygnańców z powyżej opisanych przyczyn umierało, powiększono „karmowe“ i to w ten sposób, że wygnaniec ze stanu „nieupriwiligowanego“ otrzymywał po 10 kopiejek dziennie, zaś wygnaniec ze stanu „upriwiligowanego“ po 15 kopiejek dziennie karmowego, i to już bez względu na gubernię.

Gdy partya weszła na podwórze etapu i zamknięto bramę, ustawiała się w szereg i następowała „powierka“ (przeliczenie) i inne ceremonie, nie wszędzie jednakie, po tem wszystkiem otwierano drzwi etapu. Wtedy wszyscy starali się szturmem zdobyć sobie jakie takie miejsce do spania, choćby już tylko pod pryzami, ażeby przy nadzwyczajnem przepełnieniu nie potrzebował spać siedzący lub nawet stojący a najbardziej o to, ażeby mu nie przypadło miejsce przy samej „parasce.“

Nadmienić tu muszę, że stałe garnizony wojska na etapach znajdują się tylko po Irkuck; dalej zaś są już tylko etapy, a wygnańców eskortują żołdaci lub kozacy od miasta do miasta. Nawet naszą partyę, składającą się z około 30 wygnańców eskortował po za Irkuckiem tylko jeden podoficer kozacki, którego obowiązkiem było wieźć nasze papiery („bumagi“) pieniądze „karmowe,“ starać się o furmanki i kwatery i wszystkich nas odstawić do najbliższego miasta.

Z tego zatem wyszło, że właściwie my jego musieliśmy pilnować, ażeby „bumag“ naszych nie zgubił, pieniędzy karmowych nie przepił i w ogóle ażeby się sam gdzieś nie zatracił, gdyż wprowadziłby nas w położenie bez wyjścia. Jak już poprzednio nadmieniłem, w Tobolsku mieliśmy się zatrzymać kilka dni, a to aż do czasu, kiedy partya do następnego etapu będzie utworzoną i kiedy nadjedzie dzień naznaczony do wymarszu. Tu już zamiast karmowego otrzymaliśmy więzienny wikt. W sali, w której nas ulokowano, zastaliśmy już kilkunastu wygnańców, którzy wcześniej przybyli i których zatrzymano w części dla słabości, w części dla odpoczynku.

Dnia następnego odwiedził nas Jenerałgubernator Zenowicz, nadzwyczaj Polakom (życzliwy) przychylny; co tylko było w jego mocy do ulżenia naszej niedoli, wszystko uczynił, z każdym z nas z osobna rozmawiał, wypytyując się nawet o stosunki rodzinne i różne dolegliwości, a żadnej prośbie nie odmówił. Z wszystkimi zaś rozmawiał po

polsku, zatem otoczenie jego składające się z kilku wyższych urzędników nie rozumiało nic. Przy tej wizytacyi byłem świadkiem następującego zdarzenia. Jeden z towarzyszy, student z Wilna, któregośmy już w Tobolsku zastali i który z Wilna przyszedł piechotą, był zasądzony na posilenie do gubernii Tobolskiej. W tejsze gubernii był na posileniu brat jego, przedtem zasądzony, o czem on wiedział i znał miejsce jego pobytu. Gdy więc Zenowicz podszedł do niego i zaczął z nim rozmawiać, ten poprosił, ażeby i jego tam, gdzie brata odesłał. Na tę prośbę Zenowicz w największej złości odwrócił się do swego urzędnika i rozkazał ażeby tego młodego miatieznika natychmiast zakuć w kajdany i pod silnym konwojem odwieźć tam a tam; właśnie do miejsca pobytu brata. Świta gub. Zenowicza i my, cośmy opodał stali, zgłupieliśmy zupełnie, przypuszczając, że ów student czemś Jenerałgubernatora ciężko obraził. Zenowicz rozmawiał potem jeszcze z kilkoma wygnańcami, ale już krótko, wreszcie ukłoniwszy się wyszedł. Dopiero po wyjściu gubernatora sprawa się wyjaśniła.

W parę godzin, już po obiedzie, rzeczywiście zakuto owego studenta w kajdany, a ponieważ sanie i konwój były gotowe, spiesznie wsadzono go na sanie i odwieziono na miejsce o które prosił.

Po kilku dniach rozdano nam aresztanckie „kazionne“ ubranie i tak każdy z nas otrzymał: 1 koczulę, 1 kalesony z płótna konopnego t. zw. wowlowiny, 1 parę onuczek płóciennych po 1 arszynie

długich, 1 parę onuczek sukiennych, także po arszynie długich, 1 parę „brodni“ (butów) tak wielkich, że mieściła się w nich noga, owinięta obu temi onucami, 1 spodnie z grubego sukna aresztanciego i z takiegoż sukna „chałat“ z sukiennym pasem. Na środku pleców chałatu były wycięte litery oznaczające gubernię „gub. Tob.“ i as \diamond karrowy i podłożone złotem sukmem. Każdy dostawał także kożuszek (półszubek), 1 kożuch na wierzch duży („szubę“), 1 „szlapę“ to jest nakrycie na głowę, kark, twarz, brodę, czoło a tylko nos, oczy i usta miały 1 wspólny otwór. Nadto dostał każdy 1 parę rękawic z grubego sukna podszytych futrem i parę rękawic wełnianych; zaraz rozpoczęliśmy się uczyć w te rzeczy się stroić, co też nam się po wspólnych dociekaniach i naradach wyśmienicie udało.

Po kilku dniach zawiadomiono nas, że ponieważ partya już jest uformowaną, zatem następnego dnia wyruszmy piechotą etapami w drogę. Przedtem jeszcze stawiliśmy się przed lekarzem, który miał orzec, który z nas nie może iść piechotą i potrzebuje furmanki, lecz niestety żadnemu z nas nie wyasygnował sanek; to znaczy, że wszyscy musieliśmy iść piechotą do Tomska z górą 1600 wiorst.

Dnia 12 grudnia rozdano nam po 21 kopiejek karmowego na trzydniowe wyżywienie się, poczem wyszliśmy na podwórze, gdzie zastaliśmy naszą partyę, składającą się co najmniej z 200 osób, samych kryminalistów, z których ze 20 było zaku-

tych w kajdany (tych zwano kandalszczykami), i między którymi znajdowały się kobiety i dzieci. Nasze wrażenia i uczucia, gdy nas około dwudziestu złączono z 200 kryminalistami w jedną całość nie potrafię i nie pokusiłbym się nawet w przybliżeniu opisać, dość, że dopiero pierwszy raz od chwili wzięcia w niewolę ujrzałem na twarzach wszystkich przykre i serce ściskające przygnębienie. Po dość długich jeszcze „powierkach“ i cegielach otworzono około południa bramę, a gdy „komandier“ krzyknął w „pochód“ cała partya z kandalszczykami na przedzie ruszyła w pochód, otoczona żołdatami i kozakami. Za partyą zaś ciągnęło kilka sań z chorymi i tymi, którzy mieli zaasygnowane furmanki, jakoteż sanie z rzeczami („wieszczami“), lecz także pod kozackim konwojem.

Pochód posuwał się szparko, tak, że przeciętnie robiliśmy sześć wiorst na godzinę, w połowie zaś drogi następował „prywał“ odpoczynek 15-to minutowy, a jeżeli gdzie taki prywał wypadł we wsi, to można było nawet kupić sobie jaką „szańgę“ lub kołacz na przekąskę. Po 15-tu minutach pochód ruszał w dalszą drogę.

Dość późnym wieczorem przybyliśmy na póletap, tu jak już porządku etapne opisałem *) po powierce

*) Rozpisałem się dlatego o etapach, gdyż już po roku 1880 nastąpiła zmiana w pędzeniu wygnańców etapami, a to: już podobno partye nie szły piechotą, lecz wieziono je omnibusami, po kilkunastu na jednym, przykutych do poręczy i już bez dniówek, naturalnie i prędzej. Obecnie zaś wobec kolei sybirskiej, pewnie już wiozą koleją, a po-

i różnych ceremoniach otworzono drzwi póletapu, a wtedy nas spotkała bardzo miła i przyjemna niespodzianka, gdyż komandier polecił podoficerowi, aby „politiczeskich“, to jest nas, umieścić w osobnej „kamerze“ (izbie). Gdy w kamerze, w której na pryczach dziesięć osób jedna przy drugiej mogło się ułożyć, nas dwudziestu kilku się ulokowało, wszedł żołdat z oznajmieniem, że „targowki“ (przekupki) już czekają. Naturalnie wyszliśmy na zakupno, pozostawiając kilku przy rzeczach, aby nam ich aresztanci nie pokradli.

Na podwórzu zastaliśmy dwa długie szeregi kobiet, które miały poukładane na ziemi wiktuały, mniej więcej wszędzie jednakie. Przedewszystkiem był tam „kwas rosyjski“ lub „piwo sybirskie“ we wiadrach, mleko surowe lub prażone w „krymkach“ (w garnuszkach podobnych do naszych wazoników), „szczij“ rosyjski, coś podobnego do naszego lichego rzadkiego kapuśniaku, z pływającymi kawałeczkami mięsa, „pochlopka“ podobna do rosołu, także z pływającymi kawałeczkami mięsa, kasha jaglana lub jęczmienna na mleku, jajecznicza na mleku, czasem „żarkoje“, coś w rodzaju pieczeni (w lecie po większej części z dziczyzny), „bliny“ podobne do naszych omletów tylko z mąki hreczanej. Pieką je na żarze na patelni i równocze-

nadto największych zbrodniarzy wywożą okrętami morzem na Sachalin, nas zaś dopiero straszono Sachalinem. Etapy już może obecnie zniesione, a wkrótce i pamięć o nich zaginie; lecz według mego zdania bezwątpienia Moskale coś lepszego wymyślili lub wymyślą do mordowania ludzi.

śnie pod płomieniem, lecz bez wielkiej ilości tłuszczu, tylko patelnie smarują szmatką umoczoną w jakiegokolwiek tłustości, najczęściej w baranich łoju, lub wosku; „aładieje“ rodzaj naszych hreczuszków lecz z ciasta pszennego lub żytniego i smażone na maśle, chleb, „szangi“ do placków podobne, z wierzchu posmarowane śmietaną i „kołacze“ t. j. duże obwarzanki; chleb, szangi i kołacze są żytnie, pszenne lub jęczmienne, zależnie od okolicy, w której się jakiś gatunek zboża rodzi.

Wiktuały te nie były drogie i za 7 kopiejek można się już było raz na dzień posilić.

Przenocowawszy jeden przy drugim, tak na pryczy jak i pod pryczą, gdy zaczęło dnieć żołdaci budzili nas, zbieraliśmy się prędko, a gdy się dzień zrobił, po wszystkich zwykłych ceremoniach wyruszyliśmy w pochód. Wieczór przybywaliśmy na etap, tu nam także dawano oddzielną „kamerę“ cokolwiek większą, gdyż i budynek był większy i nie było już „obratnych...“ Wieczór po ulokowaniu się, jak to było na poprzednich etapach i jak na następnych będzie, kupowaliśmy u „targówek“ żywność.

W tym samym porządku, bez żadnych zmian mieliśmy dojść do następnego gubernialnego miasta Tomsk.

Na dniówce pierwszego etapu wieczór przypadła nam wilia Bożego Narodzenia w niewoli. Naszych uczuć nie mogę opisać, gdyżbym nie potrafił. W dzień zaś Bożego Narodzenia maszerowaliśmy do póletapu w bardzo przynębionych usposobieniach.

W naszym gronie oprócz Gudzińskiej i Kowalskiego, którzy pozostali w Tobolsku, byli wszyscy, którym na Aleksandrowskim odwachu w cytadeli Warszawskiej równocześnie odczytano wyroki i tak: Z Galicyan: Bańkowski, Gruzicki, Gliniecki, Janowski Adolf (Zielonka Ludwik), Lachowski, Miodowicz Ludwik, ja, Mężyński Leonard, Radecki Rudolf, Szulc Adolf, Zgórek Franciszek.

Z Królestwa Polskiego; Babiński, Broniewski, Kołodziejczyk Mieczysław, Krasnowolski, Raciborski Władysław, Szelest Roman (Białkowski), Zaremba Jan i z Francyi Jost (Żost) i jeszcze kilku z Królestwa, których nazwisk już nie pamiętam.

Wspomnieć tu muszę, że jeżeli który miał choć trochę pieniędzy uratowanych przed Moskalami, mógł nie chcąc iść piechotą, jechać, nawet bardzo tanim kosztem, a mianowicie: jak wspomniałem już poprzednio większość żołdatów etapnych posiadała gospodarstwa we wsi i miała konie, otóż rano przed wyruszeniem partyi przychodzili żołdaci i ofiarowali się podwieźć do następnej stacyi telegą za 6, 7 lub 8 kopiejek. Więc kto mógł i chciał tyle zapłacić, to mógł całą stacyę jechać, my jednak zupełnie nie mając pieniędzy, nie korzystaliśmy z tego, chyba, że który rzeczywiście dla słabości lub utraty sił nie mógł iść, to wtedy składaliśmy się, ażeby mu nająć miejsce na teledze. Tak bez żadnych wypadków maszerowaliśmy z etapu do pół-etapu i znów do etapu, aż do dnia 1 lutego 1864 r.

Panowały wielkie mrozy, droga była ślizka, więc bardzo nas męczyło maszerowanie w brodniach bez

obcasów, a że miałem jeszcze buty darowane mi w cytadeli przez moskiewskiego kapitana, więc umyśliłem sobie, gdy przyjdziemy na etap włożyć buty, zwłaszcza, że mając zawinięte nogi arsyznem płótna i arsyznem sukna, nie czułem zupełnie zimna. Jak umyśliłem tak też i zrobiłem. Następnym marsz szedłem już w butach, lecz pomimo tupania, biegania i tańczenia, było mi tak zimno w nogi, że gdyśmy na etapie przy „powierce“ stali, już palców nie czułem zupełnie. Po paru godzinach, gdyśmy się ułożyli do snu i nogi się ogrzały, dopiero poznałem po strasznym pieczeniu, że odmroziłem palce u obydwóch nóg. Następnego dnia o włożeniu „brodni“ nie można było ani myśleć, więc mi szlachetny towarzysz Miudowicz pożyczyl swoich ogromnych filcowych berlaczy.

W tym czasie, na wielkie moje szczęście nadjechał na inspekcję garnizonów etapnych, jakiś wyższy oficer, który, gdy się o tej mojej przygodzie dowiedział, a nadto i sam zobaczył, rozkazał odeśłać mnie zaraz do szpitala w Tarze, najbliższem mieście powiatowem, leżącym po drodze. Może w godzinę po tem, gdy moje „bumagi“ i konwój były gotowe, zajechały sanie zaprzężone w 5 koni gęsiego, jeden po drugim, na których konno siedziało dwóch furmanów, położono mnie, jak tam w zwyczaju, głową do koni, a po obu stronach obok mnie pokładli się żołdaci i ażebyśmy się nie pogubili, obwiązano nas mocno sznurami, a gdy już wszystko było gotowe na dany znak ruszono z kopyta.

W powyżej opisany sposób dowieziono mnie do Tary. Muszę jeszcze dodać, że dnia następnego po wyjeździe z etapu nadciągnęła straszna zawierucha, więc gdyśmy przybyli na stację, nikt nie mógł poznać, że to przywieziono ludzi, gdyż nasze sianie przedstawiały jedną bryłę śniegu.

Do Tary przybyłem wieczorem, dnia 5-go lutego 1864 r. Zajechaliśmy przed mieszkanie „isprawnika“ (naczelnika powiatu), który przejrząwszy „bumagi“ kazał mnie odwieźć do więziennego szpitala, w nim więc nocowałem. W szpitalu zastałem już trzech naszych wygnańców a to: Korzeniowskiego, doktora medycyny z Ukrainy i Szczepańskiego, b. kapitana wojsk rosyjskich z Kaukazu, trzeciego Bitdorfa z Łodzi. W parę tygodni później, gdy nasza partya przybyła do Tary, pozostał z niej Bańkowski, a w kilka tygodni później przybył jeszcze ks. Kurkiewicz, bernardyn z Wilna i Leon Czechowicz z Litwy.

Ponieważ odmrożenie potrzebuje długiej kuracji, więc z tego powodu musiałem przebyć w szpitalu kilka miesięcy, a że w każdym moskiewskim szpitalu więziennym stale panuje tyfus, więc naturalnie i my musieliśmy takowy przebyć, a jeden z nas ks. Kurkiewicz, ponieważ był już w podeszłym wieku i korpulentny, uległ tyfusowi i umarł.

Wspomnieć jednak tu muszę, że gdy zapadłem na tyfus, to lekarz więzienny odwiedzał mnie dwa razy dziennie, a w czasie przesilenia to nawet i w nocy. Interesowali się także bardzo przebiegiem mojej choroby „strapczy“ i „gorodniczy“

i niemal codziennie mnie odwiedzali, szczególnie ostatni.

Tutaj też towarzysze moi, chcąc mieć dla zabicia czasu czwartego partnera do preferansa, nauczyli mnie tej gry. Preferans bardzo wiele czasu nam zabijał, szczególnie po nocach, gdyśmy musieli czuwać nad którym ciężko chorym towarzyszem.

Wreszcie, w drugiej połowie maja 1864 r., gdy świeża partya miała nadejść na etap, a moje rany na nogach już się pozasklepiły, lekarz uznał mnie za zdolnego do dalszego pochodu i wypisał mnie ze szpitala. Przebrałem się więc znowu w moje aresztanckie ubranie, które przez czas mego pobytu w szpitalu, były przechowane w „ceghauzie“ i dnia 19 maja zostałem odstawiony na etap.

Partya, do której zostałem przyłączony, składała się również, jak poprzednia, z przeszło 20 aresztantów, między którymi znajdowało się także kilkunastu polskich wygnańców, z których zapamiętałem tylko: Gizińskiego i Humieńskiego sześćdziesięcikilko-letniego staruszka z Królestwa, b. majora wojsk polskich Sulikowskiego, Müncera, garbatego kupca, i Antoniego Kamińskiego—obydwóch z Lublina, ks. Pieślaka z Litwy, Czechowicza z Wilna, Żabickiego, Kohna, Pizsa i Świszczowskiego z Galicyi, Francuza Mariszala, księdza Leśniakowskiego ze Żmudzi.

Porządkiem etapnym, poprzednio opisanym, przeszedłszy przez powiatowe miasta Kainsk i Koływan, po kilku tygodniowym pochodzie przybyliśmy do gubernialnego miasta Tomska. W tym pocho-

dzie mieliśmy towarzysza, o którym nie mogę nie wspomnieć, a był nim Antoni Kamiński z Lublina, młodzieniec z górą dwudziestopięcioletni, zdaje mi się student szkoły głównej w Warszawie.

Przed powstaniem widocznie był on bardzo pobożny, a skazany został na posilenie do guberni Krasnojarskiej. Otóż gdy się dostał w ręce Moskali i gdy go stawiono przed sąd wojenny, którzy z oficerów zerwał mu z piersi krzyżyk, (rękami matki, przy ostatniem błogosławieństwie na drogę do boju, na szyję włożony) i rzuciwszy na ziemię, nogami w kawałeczki rozdeptał. To świętokradzkie znieważenie krzyżyka, taki wpływ na nim uczyniło, że od tej chwili rozpoczął następujący tryb życia, i tak: jadł tylko raz na dzień i to tylko kawałek suchego chleba, popijając czystą wodą, kubkiem glinianym, umyślnie do tego celu kupionym; spał tylko przy samej „parasce“ na gołej, zawsze wilgotnej podłodze; nie mówił nigdy do nikogo ani jednego słowa, żeby kto nie wiem jak go o to prosił i przemawiał do niego; gdy otrzymał „karmowe“, kupiwszy sobie bochenek najczerstwiejszego chleba, resztę pozostałych mu pieniędzy oddał zaraz aresztantowi, który się pierwszy obok niego znalazł. Wystrugał sobie z drzewa krzyżyk około piętnastu centymetrów wielki, a skaleczywszy się, krzyżyk ten własną krwią pomalował, nieustannie krzyżyk ten trzymał w rękach i wciąż się modlił. W zamian za swoje i „kazionne“ rzeczy kazał sobie zrobić aresztantowi byłemu krawcowi spodnie i bluzę z niebieskiego płótna a na pier-

siach przyszyć z płótna czerwony duży krzyż i w tem też ubraniu tylko chodził, bez czapki i bez obuwia; nigdy się nie strzygł, nie mył i nie cesał, tak że wtedy, gdy szedł ze mną, włosy już miał do połowy pleców, a brodę do połowy piersi. Co było najboleśniejsze, patrząc na niego, to niezliczona ilość wszów w brodzie i włosach, tak, że takowe aż bielily się, gdy mu zaś która spadła, lub gdy nawet obcą zobaczył na ziemi, od których się wszędzie roilo, to podniósłszy ją delikatnie, wkładał we włosy lub za pazuchę. W marszu szedł zawsze uboczem, sam jeden, a że miał na piersiach i w rękach krzyż i wciąż się modlił, więc i konwój uszanowawszy jego stan nic mu nie mówił. Gdyśmy przechodzili przez okolice bagniste, gdzie ogromna ilość była komarów i bąków i gdzie bardzo trudno było się uchronić od ich ukąszeń, on szedł wciąż nachylony, nie poruszywszy nawet żadnym członkiem ciała pomimo, że go setki komarów i bąków obsiadło i krew z niego wysysało; on zaś ani drgnął, natomiast uciekał, gdy mu kto chciał owe komary spędzić.

Gdyśmy nad brzegiem rzeki „Ob“ na etapie mieli dniówkę, uprosiliśmy „komandiera“ ażeby nam pozwolił wykąpać się, a że chcieliśmy ażeby i Kamińskiego trochę woda oplukała, więc prosiliśmy podoficera, ażeby on komenderował. Gdy więc podoficer zakomenderował rozbierać się, więc i Kamiński się rozebrał, ale gdyśmy weszli w rzekę, to on tak daleko szedł przed siebie, aż my w obawie, aby go prąd wody nie porwał, prawie gwał-

tem wyprowadziliśmy go na brzeg, ale też zobaczyliśmy, że ciało miał okropnie poranione.

Ponieważ przypuszczam, że z czasem pamięć o podróży etapami zaginie, więc dla upamiętnienia jeszcze wspomnę o pożywieniu naszym przed Tomskiem i o tak zwanym „podajaniu“, czyli o zwyczajach miłosierdzia ludności rosyjskiej.

Ku końcowi maja i cały czerwiec aż do przybycia do Tomska, prawie głównem naszym pożywieniem były dzikie kaczki i dzikie gęsi, lub jaja tych ptaków; a to w ten sposób, że gdyśmy wieczorem przybyli na etap, przychodzili żołdaci i sprzedawali nam pieczone dzikie kaczki po sześć kopiejek, a dzikie gęsi pieczone po dziesięć kopiejek, dziesięć jaj kaczek za trzy kopiejki a gęsich za cztery kopiejki. Żołdaci dopiero wtedy wybierali się z karabinami na polowanie na dzikie ptactwo i na poszukiwanie jaj, gdy pewną ilość tegoż mieli zamówioną, a nawet czasem pobierali zادةk, a nie zdarzyło się, żeby nie dostarczyli zamówionej ilości, chociaż czasem zdarzało się, że upieczona kaczka lub gęś nie była wypaproszona, a w jajach znajdowały się malutkie kaczęta lub gąsięta.

Co zaś jest „podajanie“, to się rzecz ma tak: w całej Rosyi, gdzie tylko mieszkają Rosyanie, wszędzie znajdują się więzienia rozmaitego rodzaju przepełnione więźniami i to za byle co, bo często na widzimisię byle jakiego „czynownika“ (urzędnika) pakują niewinnych do więzienia, biada zaś takiemu co się nie okupi, nawet najniewinniejszemu. Po rocznem lub nawet dwuletniem więzieniu śled-

czem, a im dłużej go trzymają, tem cięższym jest przestępca, za wyrokiem, lub bez wyroku, tak zwanym porządkiem administracyjnym, wysyłają na posilenie lub do „katorgi“ na Sybir, a to kilkanaście tysięcy osób rocznie. Zatem każdy Moskal, choćby i na najwyższym stanowisku (jak niedawno słynny obrońca „Portu Artura“ Sztösel i Niebogotow i inni) nie jest pewny swego jutra i nie jest pewny, czy nie znajdzie się po pewnym czasie na etapie, maszerując na Sybir. Dlatego Moskale nie nazywają wysyłanych na Sybir inaczej tylko „nieszczasnyje“ i okazują im litość przez to, że dla polepszenia ich doli składają im „podajania“ (jałmużnę) na ręce „starosty“, który w każdym więzieniu i w każdej partyi musi być przez samych więźniów wybrany, a przez władzę więzienną zatwierdzony. „Starosta“ zaś wspólnie z również przez nich wybranymi „alterszczykami“ uzbierane „podajenie“ rozdaje pomiędzy aresztantów, przypadającą na każdego część. Po większych miastach, jak: Petersburg i Moskwa, oprócz najrozmaitszych wiktuałów, nieraz po paręset rubli tygodniowo zbierano.

W drodze „podajania“ także stanowiły poważną część utrzymania wygnańców, albowiem partya przechodząc przez każdą wieś lub miasto, wyznaczała kilku lub kilkunastu ludzi, którzy, idąc z jednej i drugiej strony partyi z workami, zbierali te „podajania“, a nie zdarzyło się, iżby z któregoś domu coś nie wyniesiono, bądź w wiktuałach, bądź w pieniądzech, choćby kilka kopiejek. Po przybyciu na etap rozdzielał wszystko „starosta“ z „al-

terszczykami“ na każdą osobę przypadającą równą część. Muszę jednak zaznaczyć, że żaden wygnaniec Polak nigdy z „podajania“ nie korzystał i pomimo prób i perswazyi starszyzny aresztanckiej, nigdy żaden nic nie przyjął. Wracając nawet, gdyśmy już byli sami i gdyśmy przechodzili przez większe miasta, jak: Niżny-Nowogród, Moskwę, Petersburg, a niektórzy Moskale po 50 rubli nam ofiarowywali, pomimo nędzy i głodu żaden z nas nigdy „podajania“ nie przyjął.

Gdyśmy przybyli do Tomsku, więzienie natenczas było przepełnione aresztantami i pomimo, że byliśmy już przed Tomskiem ostrzegani, ażeby tam swoich rzeczy dobrze pilnować, gdyż tam niesłychanie kradną, zaraz na wstępie do więzienia, gdyśmy się przez zbitą gromadę aresztantów przeciskali, kilku naszym wyrwano tłómczki z rzeczami, i pomimo krzyku i skarg, takowe zupełnie przepadły.

W Tomsku zatrzymano nas kilka dni na wikcie więziennym i tu dowiedzieliśmy się o ukazie carskim podnoszącym wszystkim wygnańcom karmowe, jak już poprzednio wspomniałem, dla „nieupriwiligerowanych“ po dziesięć kopiejek, zaś dla „upriwiligerowanych“ po piętnaście kopiejek dziennie i „podwodę“, t. j. że na każdych czterech „upriwiligerowanych“ należała się jedna podwoda.

Po kilku dniach rozdano nam potrzebne każdemu rzeczy („wieszczy“), gdyż muszę zwrócić uwagę, że przedmioty sukienne, jak: spodnie i chałat były zrobione z sukna z krowiej sierści, tak, że już

w kilka tygodni rozleciały się zupełnie i pomimo łatania, trudno było donosić do miasta gubernialnego, również buty i bielizna pomimo grubości, także nie wytrzymały. Więc prócz kozuchów, prawie wszystko nam wydano nowe, a zamiast butów dostaliśmy rodzaj chodaków („czerki“).

Następnego dnia wyruszyliśmy tym samym porządkiem, tylko z tą różnicą, że już „upriwiligowani“, do których i ja miałem szczęście być zaliczonym, jechaliśmy na podwodach. Podróż odbywała się zwykłym trybem, przeszliśmy przez powiatowe miasta: Maryińsk i Aczyńsk, dnia 18 sierpnia przybyliśmy do gubernialnego miasta Krasnojarska. Nasza partya zmniejszyła się bardzo, gdyż prawie trzy czwarte towarzyszy było skazanych na posiedzenie do tejże gubernii krasnojarskiej, więc tu ich zatrzymano. W Krasnojarsku zastaliśmy bardzo wielu wygnańców, którzy już przedtem przybyli, a będąc przeznaczonymi na posiedzenie do tejże gubernii, oczekiwali tu na wyznaczenie im miejsca pobytu, co nieraz i kilka tygodni trwało; tu też pozostawiliśmy naszego biednego towarzysza Antoniego Kamińskiego, prosząc bardzo lekarza szpitala więziennego, ażeby go koniecznie zabrał do szpitala i przynajmniej parę miesięcy dla odpoczynku przetrzymał, co też nam lekarz obiecał i do szpitala gwałtem go zabrał. Kamiński z początku bardzo się opierał, ale widząc przemoc nie na żarty, dał już ze sobą robić, co tylko lekarz kazał. Dnia następnego widzieliśmy go zupełnie wygolonego, wykapanego i wymytego, w czystym, szpitalnem

ubraniu, a choć na nas o pomstę niebios wołał, myśmy byli z tego zadowoleni.

Z towarzyszy, których zastaliśmy już w Krasnojarsku, zapamiętałem tylko Czaplickiego (późniejszego autora „Czarnej księgi“ i „Ostatnie rządy na Litwie“) z żoną, Olechnowicza i Nowickiego, obu ze sprawy kazańskiej.

W parę dni po zwykłych ceremoniach w gubernialnych miastach z nami przeprowadzanych, znowu zwykłym etapnym porządkiem, lecz tylko w małej już liczbie, wyruszyliśmy 25 sierpnia w dalszy pochód.

Podróż ta nie zaznaczyła się żadnym uwagi godnym zdarzeniem, nie była zaś dla nas bardzo nużąca, gdyż było już lato, na etapach i półetapach było dosyć miejsca i podwód mieliśmy tyle, że za małą dopłatą mogliśmy się wszyscy na nich pomieścić, co zaś najważniejsza, że szliśmy już sami, nie z cywilnymi aresztantami. Przeszedłszy przez powiatowe miasta: Rybińsk, Kańsk i Niżnyudińsk, przybyliśmy dnia 22 września 1864 r. do Irkucka.

(„Wspomnienia z powstania styczniowego i sybirskiej katorgi 1863—1869“ — Leonard Mężyński. — Tarnopol, 1910).

E T A P Y.

Było to wśród ostrej zimy Sybiru 1863 r., gdy w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia trzydziestu sześciu Polaków, tak nazwanych politycznych przestępców, ze czterystoma moskiewskimi zbrodnierzami wysłano pieszo, etapnym porządkiem, w długi, uciążliwy pochód do kopalń Nerczyńskich, przeszło cztery tysiące wiorst oddalonych od Tobolska.

Jakim Bożym cudem przebyliśmy pierwszy pół-etap? nie mogę zdać sobie z tego sprawy. Szedłem wraz z innymi towarzyszami niedoli odurzony jednostajnym brzękiem kajdan, przekleństwem pędzonych, świstem kozackich nahajek, nieustannem kolbowaniem pozostających w tyle, i ciągłym krzykiem żołdactwa *stupaj poskorej*. Pamiętam tylko, że późno już w nocy przybyliśmy do jakiejś wioski zasypanej prawie śniegiem, że otwarła się jakaś ciężka brama drewniana, i że nas tam blisko

pięćset, jak bydło, wepchnięto. Tak stłoczeni mieliśmy noc przepędzić. Posiliwszy się kawałkiem razowego chleba, siedząc skurczeni na wilgotnej ziemi, znużeni zasnęliśmy snem głębokim.

Nie wiem jak długo mógł trwać ten sen, gdy przebudziły nas przeraźliwe krzyki *wstawaj poskorej, w pochod rabiata*. Przetarłem oczy, zerwałem się i oprzytomniałem, i dopiero teraz całe nasze oplakane położenie stanęło mi jasno przed oczyma. Był to pierwszy półetap, pierwszy nocny odpoczynek, początek naszej długiej wędrówki przez odludny step Sybiru.

Dnia 18 stycznia 1864 roku mróz był silny, wiatr dął od północy, a jedną jedyną drogą z Czyściak do Kuściery, idącą w stronę północno-wschodnią, przecinającą nieprzejrany step, posuwa się szparko masa ludzi, rozmaitego wieku, kształtu, postaci i rysów, a wszyscy ci razem dziwnie wyglądają. Na głowach niosą coś nakształt baranich czepców, kożuchy różnego kroju i koloru, większa część siercią do góry powywracane; na nogach jeszcze coś dziwniejszego, bo tego ani butami, ani chodakami nazwać nie można, są to tak zwane koty, więcej okrągłe jak podługowate, bez napiętek, ze złotymi z baraniej skóry cholewami, wynalazek czysto moskiewsko-mongolski. Na przodach, tyłach i po bokach tych ludzi idą i jadą konno ludzie jeszcze rozmaitszego ubioru, każdy z nich ma zawieszony na plecach karabin w różnorodnych sukienych, skórzanych i płóciennych futerałach, nogi zaś poobwijane w grube, sznurami poprzymocowywane kawałki sukna.

Mróz musi wszystkim porządnie dokuczać, bo pomimo prędkiego marszu, widać nie jednego biegnącego, rękoma się bijącego młodzieńca, tu znowu drugich, nacierających śniegiem odmrożone członki, a u każdego z tych ludzi, choćby miał najmniejszy zarost, wisi u wąsów i brody bryła lodu, która powiększa się coraz bardziej. Za tem wszystkim wloką się sanki za sankami, jednokonne, napełnione ludźmi rozmaitego wieku i obojga płci, a wszystko to, jak i konie, pokryte jest grubym, białym szronem.

W całej tej grupie pędzonych panuje uroczysta cisza, przerywana jednostajnym brzękiem kajdan i skrzypieniem śniegu pod wpływem silnego mrozu.

Uszedłszy taką równą — nieprzejrzaną okiem przestrzenią trzydzieści trzy wiorsty, daje się widzieć nagle, jakby ze śniegu wyrastająca, na żółto malowana ze zielonym dachem cerkiew, naprzeciwko niej toż samo na żółto malowane zabudowanie, tylko z czerwonym dachem, naokoło grubymi, wysokimi ostrokołami otoczone. Koło tych dwóch zabudowań stoją jakby na straży półwałące się chaty, a prawie na każdej z nich jest tablica z napisem „Sprzedaż wódki i napojów“. Przy jednym z tych zabudowań, otoczonym ostrokołem, zatrzymała się ta masa ludu.

Z grupy konwojujących Mongołów wystąpiła jedna postać w wielkiej baraniej czapce, w ogromnych na nogach papuciach, w kożuchu, którego koloru z powodu brudu trudno było rozpoznać. U boku jego wisiało coś nakształt szabli, ale wię-

cej do kopystki podobne. Figurą ową był wachmistrz, pan, jakich mało, bo pierwsza osoba po tu-
tejszym naczelniku *praporszczyku*.

Wyszedł i chrapliwym głosem zawołał:

„Partya, stawaj trzy a trzy!“

Na ten przepity głos, więcej do zwierzęcego ry-
ku podobny, zaczął się w tej grupie niezwykle
ruch i mieszanina. Partya stanęła. Na prawo stoją
ludzie barczyści, twarze ich poorane zbrodniami
i występkami, dzikość zwierzęca maluje się w ich
wzroku, wszyscy z ogolonemi głowami, wielu nosi
wypalone piętna na policzkach i czole, na prawym
policzku K, na czole A, a na lewym policzku T,
co oznacza katorżnik; większa połowa nosi golone
brody, co znów oznacza, że są ze stanu wojsko-
wego, a wszyscy mają kajdany na nogach; są to
tak zwani *kandalszczyki*, najwięksi zbrodniarze mo-
skiewscy. Ten w partyi u nich ma największe po-
szanowanie, kto najwięcej zbrodni popełnił, i naj-
więcej dusz na tamten świat wyprawił; dalej stoją
tak zwani *posilenicy*, podczas marszu do żelaznego
draża parami przykuci, ludzie rozmaici, za większe
i mniejsze zbrodnie, a wielu nawet z grymasu pań-
skiego, że biedni, na Sybir wysłani; dalej stoją ko-
biety i dziewczki za rozmaite przestępstwa i zbrodnie
tak do ciężkich robót, jak i na zaludnienie w Sybir
pędzone, na końcu zaś żony, dzieci a nawet i ro-
dzice, towarzyszący swym mężom, ojcom, dzieciom,
braciom lub siostrom na wygnanie. Zaiste wielkie
dobrowolne poświęcenie, do którego ich knut wiel-
kiego cara zmusza. Na boku zaś całej tej grupy

stoi osób przeszło trzydzieści; ich twarze, ubrania
różnią się od tamtych, wszystko to prawie młode,
silne, z ich ócz pała groźba i zemsta, nawet sam
wrzeszczący Mongoł z pewnem poszanowaniem ko-
ło nich przechodzi, a z niezwykłą bojaźnią zbliża
się. Garstka ta, pędzona razem z tymi zbrodnia-
rzami, są to Polacy, tak nazwani *buntowszczyki*, *mia-
tieżniki*.

Pan wachmistrz zaczyna rachować od prawego,
raz, dwa, trzy, i już doszedł do 79, ale jakie nie-
szczęście, z tej to liczby zeszedł na 60, a straciw-
szy dalszy rachunek, zaczyna na nowo. Jest to już
czwarta godzina wieczór, wszyscy jeszcze na czczo,
mróz wzmaga się coraz bardziej, zimno strasznie
dokucza, trudno już wystać. Słysząc groźby męż-
czyzn, przekleństwa kobiet, jak i płacz zmarznię-
tych i zgłodniałych dzieci, które nadaremno do
piersi swych matek się tulą. Tam znowu słyszysz
nieszczęśliwą matkę, wydającą krzyk rozpaczny, bo
jedyne jej kochanie skonało ze zimna na jej rękach.
Jednak to wszystko nic nie pomaga i ów wielki
człowiek, nie zważając na taką drobnostkę, rachuje
od początku — skończył. „Chwała Bogu“, krzyknę-
liśmy wszyscy, ale była to radość tylko chwilowa,
bo zapomnieliśmy, że trzeba będzie jeszcze te liczb-
y przez trzy pomnożyć, a tego trudno wymagać
od wachmistrza, a nawet od niejednego oficera eta-
powego, tak daleko nie sięga oświata tamtejszych
moskiewskich dostojników, to też i nasz komendant
natężył swój umysł, czoło i brwi zmarszczył, palce
u rąk puścił machinalnie w ruch, i po długim ta-

kiem natężeniu mózgowicy, położył palec do czoła, podumał, pokiwał, i rzekł sam do siebie: „o znajdują się wszyscy“. Potem obrócił się do stojącej gromady, z której każdy miał już jedną nogę wysuniętą naprzód, gotową do biegu, i rzekł protekcyjnym głosem: *stupajtie*.

Na to czarodziejskie słowo lotem błyskawicy rzucała się ta masa ludu ku bramie, której na nieszczęście pana naczelnika otworzyć nie zdołano. Myślałby kto, że brama proporcjonalnie do ostrokołów zrobiona, lub żołnierz, stojący na warcie, zdoła powstrzymać pęd zmarzniętego narodu? Grubo by się omylił, bo z taką siłą uderzyła ta masa ludu, że pękły silne żelazne zawiasy, i brama z łoskotem runęła na ziemię.

Żołnierz, który za ledwie uszedł przygniecenia ciężarem walącej się bramy, został pomimo krzyku i bagnetu przewróconym, a wszystko biegło, przeskakując przestraszonego. Każdy chciał być pierwszy, każdy chciał zająć miejsce na tapczanie (pryczy), nikt nie chciał być ostatni, nikt nie chciał dniówki przepędzić pod tapczaniem, lub na ziemi w błocie koło szaflików. A jednak trzydziestu kilku z tej grupy nie leciało, nie biegło; szli poważnie i powolnym krokiem, spuszczając się na wspaniałomyślność swych kolegów złodziei i rozbójników, zostawiających im w jednym kącie kawałek miejsca, gdzie za ledwie dziesięciu pomieścić się mogło; reszta musiała szukać legowiska w błocie i wilgoci na ziemi, a do tego w izbie źle ogrzanej. Bo cóż było robić? Sprzeczać się z nimi nie wypadało,

a tem mniej jeszcze prawem kułaka i pięści zdobywać sobie miejsca.

Pomieściliśmy się jak było można. Przeziębnięci i zgłodniaли z niecierpliwością oczekiwaliśmy tej pożądanej chwili, w której będziemy mogli się posilić i rozgrzać zmarznięte żołądki. Targówki (przekupki) pod bramą z jedzeniami czekają już i żądają, aby ich wpuszczono, ale żołnierz, stojący na warcie przed obaloną bramą, widząc, że jego połowica, także targówka, jeszcze nie przybyła, bojąc się stracić kilka groszy, nie puszcza innych. Głód dokuca, jedzenie postygło, a żołnierki nie widać. Nareszcie nadeszła; żołnierz robiąc jej przejście, aby mogła wejść pierwsza i najkorzystniejsze zająć miejsce, puścił ją naprzód, a za nią dopiero resztę kobiet.

Targówki zasiadły na wzór naszych przekupek dokoła podwórza. Przyniesiono różnego jadła, mleka, śmietany, sera, rozmaitych kasz, kartofli, różnorodne przysmaki sybirskie, jak bliny (rodzaj naleśników), różne pieczyste z mięsa, bardzo podejrzanej jakości, a nawet domowe koty, które miały zastępować zające, a najwięcej do picia kwasu sybirskiego. Pomimo, że to wszystko sprawiało rodzaj obrzydzenia, jednak po pięciomilowej przechadzce, którą odbyliśmy, brnąc nieraz po kolana w śniegu, i po całodziennem przeposzczeniu się, brało się wszystko chętnie, a jak to smakowało!

Gdy już tak wszystkie targówki zasiadły, rzucili się, najpierw nasi kochani koledzy, zabierając nam wszystko co lepsze z przed nosa; jedni płacąc, a drudzy nawet darmo. Dla nas nic prawie nie zostało,

lub to, czego już nikt brać nie chciał. Na dziś jednak rzecz się miała inaczej; szczęście gwiazdy sybirskiej co do jedzenia i nam zaświeciło.

Na rogu koło parkanu usłyszeliśmy jakiś donośny głos kobiety, która, odganiając natarczywych łotrów, nielitościwie krzyczała:

„To nie dla was, to dla Polaków, oni lepiej płacą jak wy!”

Na takie wezwanie pobieглиśmy w to miejsce, i zobaczyliśmy ogromną kobietę, ubraną w świąteczny szlafrok, gdyż to było święto Jordana, na głowie miała chustkę czerwoną, twarz wielką, a nos podobny do koloru chustki przekonywał nas, że nasza przyjaciółka nie pogardza spirytualnymi napojami. Gdy zobaczyła nas, niewypowiedziana radość zabłysła na jej twarzy i zawołała:

„Panowie, panowie! ja was bardzo kocham, wy ludzie bogaci, ja jestem pani, żona tutejszego naczelnika, a córka majora z Petersburga; ja już wiem, jak dla was gotować, wy ludzie delikatni, dobrze za wszystko płacie, skosztujcie jakie smaczne!”

„Tak, tak, bierzcie od niej — odezwał się z tyłu jakiś chrapliwy, nieprzyjemny głos — bierzcie jedzenie od niej, to jest moja żonka, a ja jestem oficerem i tutejszym naczelnikiem.”

Oglądaliśmy się i zobaczyliśmy za sobą człowieka małego, z porządnym brzuszkiem, a jeszcze porządniejszym nosem, świadczącym, że w przekonaniu, co do spirytualiów żyje w kompletnej harmonii ze swoją szanowną połowicą. Na głowie miał dużą, baranią czapkę, z pod której komicznie ta mała

pucułowata figurka wyglądała; na wierzchu zarzucony kożuch, a z pod niego mundur oficerski widać było, jednak dla brudu trudno by było oznaczyć, jakiego jest koloru, tylko tyle zauważyliśmy, że miał pełno gwiazd, krzyżów i orderów, małych i wielkich, a były to nie ladajakie, bo z rozmaitego tłuszczu, a najwięcej z tabaki, z nosa kapiącej. Spodnie na kolanach wytarte, w dole wążkie i obszarpane, na nogach zaś ogromne papucie, co kreaturę tę jeszcze śmieszniejszą robiło. Przepraszam jak najmocniej za ten wyraz, przecież to oficer wielkiego państwa moskiewskiego, od lat dwudziestu praporszczyk carstwa, naczelnik siły zbrojnej w Czyściakach i Kuścierach, pan życia i śmierci. Takim to ludziom powierza Moskwa transportowanie swych więźni, i śmiało można powiedzieć, że od grymasu takiego człowieka zależy życie każdego pojedynczego więźnia. Bo, gdy nieraz na etapach tyrańskie i gburowate obejście naczelnika doprowadzało nas do rozpacz, natenczas, wychodząc już z jego terytorium, oświadczaliśmy, że za jego niesłuszne z nami postępowanie będziemy się żalić, odpowiadał nam wręcz:

„E, co tam, i cóż mi zrobicie? Bóg wysoko, car daleko, a ja tu Bogiem, carem, gubernatorem, panem — wszystkim jestem!”

Wróćmy do pani naczelnikowej, czyli do jej w dwóch wielkich garnkach znajdującego się kapuśniaku. Rzeczywiście, garnki były czyste, a kapuśniak zgłodniałym wydawał się przewybornym. Uradowani nadzwyczaj tą zdobyczą, podziękowaw-

szy pani naczelnikowej za jej łaskawą o nas pamięć, zapłaciliśmy za ten przysmak dość słono, i zamówiliśmy na jutro taką samą porcję, wyliczywszy przypadającą należytość naprzód. Następnie udaliśmy się do naszych kryjówek dla skonsumowania tego kapuśniaku, służącego nam za całodzienne pożywienie.

Pani naczelnikowa uradowana otrzymaniem od nas pieniędzmi, podskoczyła z radości do góry, złapała swego malutkiego mężulka za połę kozucha i ciągnąc go nielitościwie krzyczała:

„Chodź stary, chodź mój luby stary, dopiero teraz napijemy się wódeczki!“ i w lansadach z oczu zniknęli nam w swem mieszkaniu. Pomimo, że Polak, jak głodny to zły, wybuchnęliśmy homerycznym śmiechem, odprowadzając rozciekawionem okiem tę godną parę małżonków.

Pokrzepiwszy się jadłem, zabraliśmy się do spoczynku, kładąc się, jak śledzie jeden obok drugiego, gdzie kto mógł. Dziesięciu słabszych i starszych dostało miejsce na tapczanie, reszta pod tapczanami i obok drzwi koło cebra z wodą i drugiego próżnego, przeznaczonego do ogólnego użytku, posławszy sobie ubranie z siebie zdjęte, buty i kułak pod głowę, a kozuchem przykryci. Jeden drugiego swym ciężarem gniotąc, jakoś prędko zasnęliśmy, marząc to o drogiej ojczyźnie, to o pozostałych rodzinach, siostrach, braciach, lub osieroconych dziatkach, to o miłej sercu bogdancie, lub dobrych przyjaciółach, wreszcie o koniu, szabli i zemście za narodową krzywdę. Sen, jedyny nasz przyjaciel

i pokrzepiciel, przeniósł nas w rodzinne strony, widzieliśmy chaty nasze, nasze żyzne pola i ubarwione łąki, widzieliśmy naszych najdroższych, którzy nas do serca przyciskali. Widać, że Najwyższy, wynagradzając nam nasze trudy i cierpienia, zsyłał na nas takie cudowne i rozkoszne marzenia, których z pewnością nam aniołowie w niebie poznać mogli. Wstając też rano, każdy z nas, ożywiony jakąś błogą nadzieją, a pokrzepiony na duszy i ciele, znosił cierpliwie, z modlitwą na ustach, jarzmo dnia następnego.

Już było dobrze rano, gdy okrzyk „targówki“, „targówki“ nas przebudził. Zerwawszy się na równe nogi, ażeby sobie śniadanie zabezpieczyć, wybiegliśmy na podwórze. Pierwszy spotkał nas pan naczelnik, już dobrze podchmielony. Zobaczywszy nas wyciągnął do nas ręce, wołając:

„Polacy! ja was bardzo lubię, wy ludzie bardzo porządni i dobrzy; nie myślcie sobie, żeby ja to był sobie taki prosty duraczok, ja liberał, ja wolnodumiec Rosyanin; chodźcie do mego mieszkania na wódkę!“

Chociaż z nas żaden nie był wielkim amatorem tego trunku, jednak kieliszek wódeczki, tego zakazanego owocu po więzieniach, przy takich mrozach, przy takich uciążliwych pochodach, był nader pożądaną rzeczą. Nie namyślając się długo, poszliśmy za naszym oficerem. W mieszkaniu, składającym się z trzech pokoi, był wzorowy porządek i czystość. Panią naczelnikową zastaliśmy w negliżu, koło niej zaś dość brudno. Przepraszała nas, że

nie jest ubraną, tłumacząc się, iż sobie w nocy do późna ze starym pohulała. Oficer, szepnąwszy coś swej żonie do ucha, i czule ją pocałowawszy, rzekł do niej głośno:

„Podajno, lubusiu, tym biednym Polaczkom wódeczki, przypatrz się jacy oni delikatni, tu w spisach carskich, (w papierach, które szły z nami), stoi wyraźnie napisano, że to wszyscy „z dworzan“ (ze szlachty), i że to wszyscy doktorzy?“

Gdyśmy się na doktoryzację naszą przez pana naczelnika uśmiechnęli, klasnął w dłonie, i rzekł z uśmiechem i z dumą do swej lubusi:

„A co? nie mówiłem ci, że oni wszyscy doktorzy? ho, ho, ja nie duraczok.“

Pani naczelnikowa wyszła do drugiego pokoju. Wkrótce pokazała się butelka z wódką na tacy, zamiast kieliszka, filiżanka, a na przekąskę gotowany suchy groch na talerzu.

Pani oficerowa naląła sobie pierwszą pełną filiżankę, i wychyliła duszkiem, potem swemu mężulkowi mniej pełną, nam się dostało za ledwie po pół. Przekąśliśmy grochem, który się palcami z talerza brało, i zaczęła się rozmowa w języku rosyjskim, który nielitościwie kaleczyliśmy. Pani naczelnikowa, jako emancypowana kobieta, zajadle broniła płęć piękną sybirską, utrzymując, że klimat sybirski wymaga picia wódki i palenia fajki. Podziękowawszy naczelnikowstwu za ich gościnność, żegnając się, chcieliśmy wychodzić, ale jakie było nasze zdziwienie, gdy pani naczelnikowa kazała sobie za ofiarowane śniadanie zapłacić, i to po piętnaście kopie-

jek, *z ryła*, jak się wyraziła. Jest to wyraz, używany w Moskwie, i świadczący o jej wysokiej cywilizacyi, a ma znaczyć „od osoby“.

Nie pozostało nam nic innego, jak zapłacić i przed resztą kolegów zamilczeć, aby nie być za tak drogie śniadanie wysmianymi.

Tu muszę nadmienić, że naówczas strata piętnastu kopiejek dla nas była dość znaczną, a wyłom zrobiony w naszych finansach nie był możebnym do załatania tak prędko, bo w gubernii tobolskiej braliśmy 7 kopiejek, w gubernii tomskiej 6 kopiejek, a w guberniach krasnojarskiej czyli jenisejskiej i irkuckiej, gdzie funt chleba razowego kosztował 4 kopiejki, braliśmy dziennie 3½ kopiejki, czyli wyraźniej powiedziawszy 7 groszy polskich dziennie, co znaczyło na monetę austriacką około 5 centów. Z tego można sobie wyobrazić, jak żyliśmy, jaki głód znosiliśmy w tej strasznej drodze.

O tem śniadaniu dowiedziała się wkrótce i reszta kolegów, i weszło w przysłowie u nas na rozmaite zachcianki: „A czy chcesz pić oficerską wódkę w Kuścierach?“

Przez cały ten dzień nie mieliśmy tego szczęścia oglądać państwa naczelników, i nawet kapuśniak, przez nas dnia poprzedniego zamówiony, przysłało nam przez ich *deńszczyka* (służącego).

Przyszła noc. Zamknięto izby, wstawiono szafliki, poszliśmy zwykłym trybem spać wcześniej, aby jutro dodnia wstać, i w imię Boże brnąć dalej o chłodzie i głodzie przez śniegi i nieprzejrzone stopy Sybiru z etapu na pólętap, a z tegoż na etap,

i tak dzień po dniu przez dziewięć miesięcy aż do Irkucka.

Biednej matce, której dziecko skonało na rękach, odebrano tegoż samego dnia martwe ciało i nie pozwolono go nawet więcej oglądać. Nie wiem czy w najdzikszym kraju, wśród Hottentotów, coś podobnego zdarzyłyby się mogło.

*Fabrykacya fałszywych rosyjskich rubli w więzieniach
i na etapach Sybiru.*

Fałszerstwo rosyjskich papierowych pieniędzy jest tak rozpowszechnione po wszystkich więzieniach całej Rosyi, a osobliwie Syberyi, że kto nie chce, wiedzieć musi; a omal wszędzie władza miejscowa, to jest smotrytiel więzienia, strapczy, sprawnik i gubernator nawet — protegując takowe wyroby — robią majątki, a każdy z nich pobywwszy lat parę na jednym miejscu, staje się pomieszczykiem, to jest obywatelem ziemskim państwa rosyjskiego, wynosząc pod niebiosa ten liberalny rząd, który dopomógł mu przyjść w krótkim czasie do majątku i znaczenia.

Fałszerstwo pieniędzy odbywa się w carstwie na wysoką skalę. Po więzieniach gubernialnych i większych powiatowych mają od dawna swoje prasy; a papieru, farb i różnych do tego potrzebnych materiałów dostarcza im najczęściej sama władza. W pochodzie zaś na etapach, odbywa się fabrykacya banknotów z wolnej ręki z nadzwyczaj wielką zręcznością, zapomocą bardzo lichych przyborów, w jednej przeznaczony izbie *kandalszczyków*, naj-

częściej pod tapczanami, tak nazwanymi *narami*, w nocy i wśród dnia.

Dozorcy więzienia obojętnem okiem spoglądają na te zbrodnicze frymarki. Do dozorowania więźni bywają użyci wysłużeni żołnierze, przyzwyczajeni do rutyny wojskowej i bezwzględnej subordynacyi, polegającej na urobionej zwyczajem zasadzie: *czynna poczytajet*. Według tej zasady nie wolno w niczem sprzeciwiać się swemu przełożonemu, co zresztą staje się dla takich dozorców dogodnem i korzystnem. Mając liche utrzymanie, obarczeni po największej części liczną rodziną, muszą najpotrzebniejsze wymagania życia zaspokajać własnym przemyślem. Jeżeli czasem jaki powodowany bądź to sumiennością, bądź żądzą zasłużenia sobie względów do awansu, oznajmić pragnie wyższej władzy o fałszowaniu pieniędzy, to musi najpierw odnieść się do bezpośrednich swoich przełożonych, a wtedy traci nietylko miejsce, narażając siebie i swoją rodzinę na największą nędzę, lecz zarazem jeśli mu na miejscu karku nie skręcą, to z pewnością pozbawiwszy go drogą pozwu i sądu, jako oszczercę wszelkich praw człowieczeństwa, wysłą pocziwca na Jakuty, Kamczatkę lub Sachalin. Tam może śmiało gadać, krzyczeć nawet; tam nikt jego krzyku nie usłyszy, i skargi nikt nie przyjmie, jako od pozbawionego wszelkich praw człowieka, któremu prawnie nikt wiary dać nie może. My, cośmy na przestrzeni przeszło ośm tysięcy wiorst (wyżej tysiąca mil), od Warszawy aż do kopalń nerczyńskich, na całej tej drodze nie ominęli ani jednego wię-

zienia, ani jednego etapu, byliśmy naocznymi świadkami tej zbrodni i upadku moralnego, od najwyższych sfer urzędniczych, aż do najniższych posługaczy, z naciskiem to powtarzam: na prawie czterysta więzień i etapów na tym szlaku, ani jednego nie znaleźliśmy, gdzieby fabrykacja pieniędzy na mniejszą lub większą skalę nie odbywała się. Można sobie zatem łatwo przedstawić ogrom fałszywych rubli w przeciągu jednego roku w obieg puszczonych.

Dnia 27 listopada 1863 roku wywieziono nas w Sybir z Warszawy pod silną strażą wojska i żandarmery z cytadeli na dworzec kolei żelaznej. Pomieszczono nas razem z zesłanymi naszymi paniami w ciemne, żelaznymi sztabami okratowane wozy. W Wilnie przyłączono do nas silną partyę braci Litwinów, między którymi było wielu księży, kobiet i dzieci. Na twarzach, nacechowanych boleścią, odgadywałeś zaraz rządu Murawiewa.

Podczas kilkugodzinnego przystanku w Petersburgu, odwiedził nas zacny i szlachetny generał-gubernator Petersburga, książę Suworow, prawdziwy przyjaciel naszej narodowości, a osobisty wróg Murawiewa-wieszatela. W czasie tej wizyty, gdy Suworow zobaczył niewinne ofiary Murawiewa, naszych księży z Litwy, Syrwita i Jacewicza, pokutych w kajdany i z ogoloną głową, zbliżył się do nich z przynależną czcią, i, zdjawszy kasko z pokorą, acz prawosławny, ucałował ich męczeńską rękę, rozkazał też zdjąć kajdany. Z Petersburga powieziono nas do Moskwy. Z dworca kolei żela-

znej przez silną eskortę nie prowadzeni, ale pędzeni do więzienia policyjnego, byliśmy świadkami barbarzyństwa zbydlęconego ludu miasta Moskwy. Gdy się wieść rozeszła po Moskwie o przepędzaniu Polaków, zrobiło się zbiegowisko ludu; lżono nas ostatnimi słowami, i rzucano na nas kamieniami. Żandarmi, którym byliśmy oddani w Warszawie pod odpowiedzialnością dowiezienia nas do Tobolska, i dodana eskorta, wiele mieli do czynienia, by nas od napadu i znieważenia pospólstwa uchronić. Widocznie ród niewieści odznaczał się w Moskwie większą ku nam nienawiścią od mężczyzn, bowiem z dworca kolei żelaznej w Moskwie do więzienia szliśmy sześć wiorst drogi pod widokiem nagich okazów, świadczących o dobrej tuszy pięknej połowy rodu stolicy Moskwy; dziś jeszcze na wspomnienie tych chwil rumieniec wstydu pokrywa nasze oblicza. Moskiewki, znać pod wpływem nienawiści ku nam, przepomniały o wrodzonej kobietom wstydlivości.

Ówczesny gubernator generalny Moskwy, książę Oboleński, widząc to, był tak ludzkim i szlachetnym, że, chcąc nam oszczędzić podobnego widoku przy przeprowadzaniu nas na północną kolej do Niżnego Nowogrodu, wystarał się u moskiewskiej arystokracji, że ta nas swoimi ekwipażami na dworzec kolei północnej odwozła.

Z Niżnego Nowogrodu do Tobolska jechaliśmy pocztą dwadzieścia dni, dniem i nocą, konwojowani przez żandarmów; dwa razy tylko po sześć godzin w Permie i w Ekaterinenburgu odpoczy-

waliśmy, robiąc przeszło dwadzieścia pięć mil dziennie.

Gubernatorem gubernii tobolskiej był znany ze swej prawości, nieskazitelnego charakteru i nadzwyczaj wielkiej energii— trzydziestokilkoletni, szlachetnych i nader ujmujących rysów — Despot Zenowicz, bicz boży wszelkich nadużyć i złodziejstw, a prawdziwy dobrodziej tamecznego mieszczaństwa i chłopstwa, osobliwie tych ostatnich brał pod swoją szczególną opiekę. Nie dziw więc, że wszyscy sowiecnicy, strapczy, sprawniki, zasidatele i cała różnorodna zgraja „czynowników“ nienawidziła gubernatora.

Jak znał pan gubernator swoich podwładnych i umiał się z nimi obchodzić, przytaczam kilka faktów, które rzucają jaskrawe światło na tamtejsze społeczeństwo.

Zawezwani do biur urzędowych, zobaczyliśmy większą część urzędników, siedzących boso; gdy tak z zadziwieniem tym gołonogim urzędnikom, siedzącym jednak w mundurach, przypatrujemy się, wszedł gubernator, i rzekł po polsku:

„Co tak ciekawie im się przypatrujecie? Oni mają obuwie, ale to jest schowane pod moim kluczem, gdybym im teraz kazał wydać, to za chwil kilka byłiby już wszyscy w szynkach“.

Innym znowu razem spostrzegł ów szlachetny gubernator jak sowiecnik (radca) gubernialny, jednemu z naszych L. N. podał rękę; wpadł jak strzała, złapał za rękę sowiecnika, i zawołał gniewnie:

„Wziąłeś łapówkę, gadaj!...“

„Nie, wasza ekscellencyo, nie wziąłem“ — odpowiada zmieszany sowiecnik.

„Wziąłeś, mów mi zaraz, gdzieś już schował?“ I odchyliwszy rękaw od uniformu, zaczął szukać wziętej łapówki.

Dopiero gdy L. N. zapewnił go słowem honoru, że tylko rękę mu podał, powiedział do nas:

„Proszę was, nie dawajcie żadnemu ani grosza, oni, ani ja nawet nie możemy wam nic innego uczynić, tylko to, co przepisy nakazują. Oni by was ze skóry zdarli, to wszystko złodzieje, i mówię wam otwarcie, że tu, oprócz prokuratora Friesego i pułkownika żandarmeryi, niema ani jednego porządnego człowieka!“

Pokazało się też, że i w tym Tobolsku, pod taką sprężystą ręką, i tak bystrem okiem, jednak odbywała się fabrykacja fałszywych rubli.

Niemało zdziwiliśmy się, gdy w obecności jednego z urzędników więziennych przyszli do nas aresztanci z propozycją zakupienia od nich fałszowanych pieniędzy. Oburzyliśmy się bardzo na tę propozycję, i sądziliśmy, że to jest żart; ani przypuszczaliśmy, żeby coś podobnego w obecności urzędnika proponowano.

Ten, widząc nasze oburzenie, spojrział na nas z ubolewaniem, i rzekł szyderczo:

„Panowie! toż to u nas rzecz zwyczajna, ktoby bowiem chciał naszemu carowi rzetelnie służyć, dyabli by go wzięli, albo by musiał wziąć torbę na plecy i kij do ręki, i pójść po zebranych chlebie. Jak ja widzę po was, to wydaje się wam jesz-

cze dziwną rzeczą sprzedaż fałszywych pieniędzy; gdy tak pobędziecie lat kilka między nami, zmienicie się i przekonacie, że prawdą i rzetelnością w naszej Rosyi daleko się nie zajdzie. Żal mi was, że odsuwacie taki świetny interes, daję wam *czesne* (szlachetne) słowo, że interes przewyborny, papiery bardzo dobrze zrobione, ot zobaczcie. Bierzemy za nie od kupców po 40 za 100. Wy mogliście śmiało dać 60 za 100, bo wam, jako przestępcom politycznym, daleko łatwiej mieniać, niżli naszemu bratu zwyczajnemu aresztantowi, jednak od was, że wy ludzie nieszczęśliwi, i macie przed sobą długą drogę, weźmiemy po 25 za 100; wyborny interes, radzę wam, jako człowiek rzetelny, kupujcie!“

Oburzeni na te słowa, wyrzuciliśmy tego rzetelnego urzędnika wraz z jego współnikami za drzwi, skąd słyhać było jego ostatnie słowa: *Wot duraki* (ot głupcy!).

Po tej wizycie i propozycyi, długi czas nie mogliśmy pozbierać naszych myśli do ładu, aż wybawił nas z tego kłopotu nasz kapelmistrz ś. p. Włodzimierz Lechowski, który pierwszy odezwał się:

„Ot, kochani bracia, lepiej zaśpiewajmy sobie naszą ulubioną piosenkę:“

„Hojda car, hojda car!
Prawosławny hosudar!“

W naszej partyi między aresztantami znajdowało się kilku fałszerzy, którzy właśnie za te zbrodnie byli wysłani w Sybir do ciężkich robót. Fabryka

odbywała się na każdej dniówce. Sprzedaż w gubernii tobolskiej nie wiodła się, ale zato gdyśmy weszli w gubernię tomską, rozpoczęła się na wielką skalę, ku największemu naszemu zdziwieniu, całkiem otwarciem i publicznie.

Ledwie partya przybędzie i stanie przed etapem dla jej policzenia, zjawia się zaraz pop, kupcy i chłopi ze wsi, pytając się głośno przy oficerze i żołnierzach: Czy niema u partyi pieniędzy na sprzedaż?

Na zapytanie zgłaszają się fałszerze, pokazują swój towar i targ idzie na dobre. Za wyrób dobry rublami pojedynczemi i trzyrubłówkami płacą 40 za 100, za gorszy lub w grubej monecie po 20 do 30 za 100.

Na trzecim etapie przed Tomskiem, którego nazwiska nie pamiętam, zdarzył się arcykomiczny wypadek, który tu jako charakterystyczny przytaczam:

Naczelnik etapu pijaczyna jak prawie wszyscy, gdy się już partya ulokowała, przychodzi do izb zapytując się, czy niema kogo, któryby mu dwudziestopięcio-rubłówkę zrobił. Na to zjawia się jeden z łotrów, któremu z ócz bezczelne filuterstwo wyglądało, i woła głośno:

„Ja umiem zrobić, ale potrzebuję na model prawdziwą 25-rubłówkę“.

Naczelnik uradowany mało co nie uściskał fałszerza. Bierze go do swego mieszkania, obiecując wódki ile tylko zechce, dodając mu młodą i gładką siostrę żony do zabawy. Działo się to w obecności nas. Poznawszy już doskonale tych łotrów, byliśmy

pewni, że na dudka wystrychnie oficera, i stało się nie inaczej. Naczelnik postarał się o żądany model, łotra zamknięto w jednym z pokoi mieszkania oficera, dano jeść, postawiono wódkę, a siostra żony zaglądała dość często do młodego i niebrzydkiego więźnia, który rzeczywiście wziął się do pracy.

Ale jakież było zdziwienie oficera, gdy prawie przed samem odejściem partyi oddaje mu ten filut nieskończoną 25-rublówkę.

„Jakto, — zawołał naczelnik — nie skończyłeś?“

„A nie.“

„A dlaczego?“

„Bo mnie brakło czasu,“ — odpowiedział z głupkowatą miną filut.

„No, a gdzież jest prawdziwy bilet?“

„Niema.“

„Jakto niema, — krzyknął wściekły oficer — przecież ja go tobie dałem!“

„Tak, dałeś, ale ja go już niemam i nie znajdziesz.“

„Każę cię zasiec różgami, okuję cię na gołe nogi i ręce w kajdany.“

„Hej r a b i a t a, — krzyknął do żołnierzy, — zrewidować go, a potem pletnię dać tutaj! Ja cię nauczę, jak masz carskiego naczelnika okpiwać!“

Gdy już zrobiono ścisłą rewizyę, i nic nie znaleziono, rzekł złodziej całkiem obojętnie z angielską flegmą i bezczelnością, wskazując wytrawnego łotra:

„Wiem, że możesz mię kazać różgami siec i pletniami ciało rwać, nie będzie to po raz pierwszy,

kajdan się nie obawiam, zresztą rób ze mną co chcesz, a 25-rublówki więcej nie zobaczysz; wiem o tem, że idąc do robót ciężkich nic mię już gorszego spotkać nie może; ty zaś każąc mi fałszywe pieniądze robić, możesz dostać się tam, gdzie ja idę; więc radzę ci dlatego po przyjacielsku, bądź cicho, gdyż twoje groźby na nic się nie przydadzą, a 25-rublówki więcej nie zobaczysz.“

Oficer wściekał się ze złości, darł sobie włosy na głowie, groził, to wreszcie prosił — wszystko nic nie pomogło, prawdziwej 25-rublówki więcej nie oglądał.

Działo się to ciekawe zdarzenie przed świętami Wielkanocnymi 1864 roku.

W tydzień po świętach przybyliśmy do Tomska, gdzie nas wszystkich zatrzymano.

Zebrało się nas tutaj 120 i przez cztery tygodnie byliśmy w głównem więzieniu pomieszczeni, mieliśmy więc sposobność poznać dokładnie na jak wysoką skalę odbywa się fabrykacya pieniędzy po więzieniach.

Gubernatorem Tomska był Niemiec Lerche, renegat, łotr jakich mało, plaga egipska całej gubernii. Odwiedzał nas w więzieniu dość często. Chciał nas zarówno ze zbrodniarzami traktować, wymyślał różne przepisy na naszą niekorzyść. Oburzony tem postępowaniem jeden z naszych kolegów, Litwin, Dr J., znany ze swej szczerości i otwartości, gdy Lerche urządzał nam jakąś nową nieprzyjemność, rzekł na cały głos przy zgromadzonych urzędnikach i oficerach, otaczających gubernatora:

„Już to prawosławny Niemiec to gorszy psa“ (hużej sobaki), na te słowa Lerche zbladł, i nie wyrzekłszy ani słowa zaraz wyszedł; od tego czasu nie mieliśmy przyjemności oglądania więcej pana gubernatora.

W Tomsku fabrykacya fałszywych rubli była najbardziej rozwiniętą. W roku 1863 wypuszczono z więzienia za 350 tysięcy rubli fałszywych papierów; a w roku następnym obfitość tychże wyrobów podwoiła się.

Od lat kilkunastu trzymano tutaj fałszerzy niby pod sądem, a właściwie przechowywano ich, aby pod zasłoną więzienia i straży więziennej tem śmielej wypuszczać mogli w obieg swoje wyroby, któremi całe miasto było przepelnione, i któremi najwięcej Kirgizów uszczęśliwiano.

Żandarmerya w Moskwie stanowi osobną instytucyę, niezależną od żadnych gubernatorów, tylko od jedyne go szefa żandarmów, naczelnika trzeciego oddzielenia w ministeryum w Petersburgu.

Żandarmerya Tomska zachodziła w głowy, skąd się bierze tyle fałszywych pieniędzy, a pułkownik ich poruszył wszelkie sprężyny, aby dojść od kogo one wychodzą, lecz nadaremnie.

Jakoś po dwóch tygodniach naszego pobytu w Tomsku, dał się słyszeć niezwykły szmer, ruch i gwar w więzieniu, po niejkiej chwili wpadł do nas pomieszany smotrytiel, niosąc z dozorcą niewielką, zamkniętą skrzynię, prosząc, aby przez kilka godzin u nas pozostała. Nic złego na razie nie podejrzewając, nie sprzeciwialiśmy się temu.

Po pewnym czasie otworzyły się drzwi, i wszedł pułkownik żandarmeryi z prokuratorem, gubernatorem, policmajstrem i z całą czeredą urzędników.

Gubernator przedstawił nas pułkownikowi, jako Polaków i przestępców politycznych. Wypytywał nas pułkownik, jak długo tu jesteście, gdzie skazani i czy nie mamy jakiej skargi? Pogawędziwszy dłużej z nami, uklonił się i odszedł, zabierając ze sobą całe otoczenie.

Gdy się już wszystko uciszyło, przyszedł smotrytiel i podziękowawszy nam za przechowanie skrzynki, kazał takową zabrać.

Dopiero po jego wyjściu dowiedzieliśmy się, że aż do Petersburga doszła wiadomość o tej zbrodni, popełnianej w więzieniu tomskiem, i rozkazano żandarmeryi zrobić ścisłą rewizyę, która jednakowoż nie powiodła się.

Teraz dopiero otworzyły nam się oczy, i poznaliśmy, jakiego wybiegu użył smotrytiel, i na jaką kompromitacyę i nieprzyjemność nas naraził, będąc przekonany, że u nas, jako u więźni politycznych i chwilowo zatrzymanych, rewizya odbywać się nie będzie. W skrzyni tej znajdowały się wszelkie przybory i narzędzia do wyrabiania fałszywych rubli.

Podczas dalszego naszego jeszcze dwutygodniowego pobytu, była rewizya kilka razy, to dniem, to nocą, jednak zawsze bezskutecznie, chociaż skrzynki już więcej do nas nie wnoszono.

W miesiącu maju wyszło nas 50 z nową areztancką partyą, składającą się z 400 osób, ku Kra-

snojarsku. I w tej partyi tak samo znajdowali się fałszerze, a sprzedaż pieniędzy odbywała się zwykłym trybem i porządkiem.

Fałszerze ze sprzedawanych pieniędzy opłacają dość znaczny podatek do komuny, tak zwanego „artelu partyi.“ Temi funduszami zarządza „starosta“ i artelszczyk większością głosów z grona zbrodniarzy wybrani, z tem zastrzeżeniem, że muszą być z grona kandydatów, to jest największych zbrodniarzy. Do artelu wpływają również pieniądze, dane jako podajanie (jałmużna), najwięcej jednak zasilają „kasę artelną“ gry hazardowe w karty, które między aresztantami są bardzo rozpowszechnione; grywają po całych dniach i nocach.

Nad artelnymi funduszami jest ścisła kontrola, i, pomimo, że w kasie czasami jest kilka tysięcy rubli, deficyt jest tam nieznanym. Przy rozwiązaniu partyi, dzieli się fundusz na równe części, a gdy którykolwiek z członków dla słabości zostaje w szpitalu, lub z innych przyczyn od partyi oddzielony, to temu przypadającą należność z najściślejszą sumiennością wypłacają.

W czerwcu przybyliśmy do Krasnojarska, gdzie gubernatorem był Zamietin, czystej krwi Rosyanin, zwierzę prawdziwe, tak pod względem głupoty, jak i dzikości.

Przytaczam tu jedno zdarzenie, świadczące o pośludności i głupocie tego generała rosyjskiego.

Gdy car Aleksander II, ocalony od zamachu na życie przez chłopca Komisarowa, uwolnił od kary

tegoż ojca, za złodziejstwa w Sybir do gubernii krasnojarskiej zesłanego, to Zamietin, dostawszy rozkaz uwolnienia go, nie posiadał się z radości, że mu to wielkie szczęście w udziale przypadło, mieć ojca oswobodziciela cara w kraju, jemu podwładnym. Chciał być sam zwiastunem tej wielkiej radości. Zwoluje najdostojniejszych urzędników i wszyscy, przybrani paradnie, jadą do wsi, o stokilkadziesiąt wiorst oddalonej; tam pan gubernator chłopu, który właśnie za złodziejstwo w areszcie wiejskim znajdował się, pada do nóg, całuje jego nogi i ręce, prosi go, jako ojca oswobodziciela najmiłościwszego cara o błogosławieństwo, rozkazuje wszystkim dostojnikom i całemu swemu sztabowi ucałować ręce zdumionego złodzieja, i wiezie go w największym tryumfie przy biciu dzwonów i salw karabinowych do Krasnojarska. Przy wjeździe do miasta archimandryta z duchowieństwem oczekują złodzieja i przyjmują z uroczystością, jakby jakiego panującego. Dla miasta Krasnojarska następują świetne dni, uroczystość za uroczystością, bal za balem, na cześć wielkiego Komisarowa. Nie dość jeszcze tego wszystkiego, głupota Zamietina posuwa się do najwyższej śmieszności; uroiło mu się w głowie, że ojciec człowieka, który cara oswobodził, powinien być co najmniej generałem, ubiera go więc w swój generalski mundur, i osobiście odwozi do Petersburga. Jakież było jego zdziwienie, gdy tam zamiast podwyższenia pensyi i orderów, oczekiwała go już odstawka.

W Krasnojarsku odbywało się fałszerstwo w tak zwanych celach sekretnych, gdzie fałszerzy po lat kilka, niby pod sądem trzymano.

Przy końcu września przybyliśmy do Irkucka; a zatem z Tobolska do Irkucka szliśmy dziewięć miesięcy, i z czystym sumieniem powiedzieć możemy, że cały nasz dziewięciomiesięczny pochód z aresztami, był to jakby jedna fabryka i jedna sprzedaż fałszywych pieniędzy.

Ile to tysięcy przez ten czas puszczono w obieg, ilu to biednych wieśniaków oszukano, a ile to nahajek poodbierały ich grzbiety, jeśli ośmielił się który pójść na skargę do żołnierzy lub do oficera, że mu ten lub ów aresztant, płacąc za jaki towar, fałszywego rubla wściubił, tego trudno nam oznaczyć.

Oficer etapowy ze swoją komendą żyją z aresztantów, nietylko sprzedając im swoje produkta do życia, ale pobierają od nich regularną opłatę, już jakby prawem przyjętą, a mianowicie:

1. Od sprzedaży pieniędzy.
2. Od pozwolenia grania w karty.
3. Od niezamykania izb na dzień.
4. Od pozwalania na rozpustę.
5. Od golenia głów k a n d a l s z c z y k o m.
6. Od zaniechania posielenców przykuwania do żelaznego drąga.
7. Od pozwolenia picia wódki.
8. Od brania podajania (jałmużny).

Wysokość opłat zależy od ilości głów, i dochodzi ogółem od 15 do 25 rubli na etap; oprócz sprzedaży pieniędzy, na co służy każdorazowa umowa.

Przytoczyłem tu fakta trudne do uwierzenia. Jednakże nie byłem ich sam jedynym świadkiem, jest nas wielu współtowarzyszy jednej niewoli i niedoli, którym Opatrzność dozwoliła odzyskać swobodę; tych więc powołuję na świadectwo prawdy.

Wspomniawszy w początkach tego rozdziału o gubernatorze Petersburskim, księciu Suworowie, nie mogę pominąć kolegę niewoli, który, pomimo że żyd, odznaczał się szlachetnością duszy, szczerem i otwartem sercem, poświęceniem i koleżeństwem, dla którego nieraz narażał swe życie wobec Rosyi. Był nim Maurycy Ritter, człowiek wysokiej inteligencji i sławny znawca nowożytnych europejskich i starożytnych wschodnich języków; był on tak krótkowidzący, że bez okularów literalnie ruszyć się nie mógł, mimo to gotów był każdej chwili rozpocząć największą awanturę z Rosyanami w obronie kolegów. Służąc w legii zagranicznej, dostał się z wieloma naszymi i Włochami pod Krzykawką do niewoli. Gdy ich z Olkusza do Kielc dostawiono, zostali przyprowadzeni przed rosyjskiego generała Csengerego, znanego ze swej gwałtowności i brutalności. Pierwsze słowa, które generał wrzasnął, były:

„Szapki dałoj!“ (Czapki na dół!)

Wszyscy odkryli głowy, nawet cudzoziemcy nierozumiejąc, ale widząc co inni robią, przejęci złowrogim spojrzeniem generała, pozdejmowali czapki; jeden tylko Maurycy Ritter, w powstaniu znany jako Krasnopolski, został z nakrytą głową.

„A ty, co za pan?“ — zapytał z wściekłością generał Csengery.

„Żyd!“ — odpowiedział z zimną krwią Ritter.

„Co ty żyd, i nie zdejmujesz czapki?“

„Nie jestem przyzwyczajony zdejmować czapki, osobliwie przed człowiekiem, tak źle wychowanym jak ty jesteś, generale.“

„Ach ty!“ — tu nastąpił znany rosyjski wykrzyknik — „ja cię nauczę, zasiękę!... różgi podawać!“ — wrzeszczał, pieniąc się ze złości, generał.

Żołnierze rozbiegli się po różgi; tymczasem generał Csengery ochłonął, i niespodziewanie krzyknął: „Czapki na głowy!“ — a, chodząc tam i napowrót przyspieszonym krokiem, stanął nagle przed Maurycym Ritterem, i już łagodniejszym głosem zapytał:

„Skąd pan jesteś?“

„Jestem poddany państwa austriackiego.“

„Ho, ho, po panu widać, że to nie w pierwszej bandzie pod Krzykawką byłeś.“

„Daruj jenerale, ale, nie będąc muzykantem, nigdy w bandach nie służyłem.“

„No, to gdzie pan przedtem byłeś?“

„Odbyłem całą kampanię z jenerałem Langiewiczem.“

„To musisz pan dobrze pamiętać, jak ja wam pod Grochowiskami strzepałem skórę.“

„Pozwól jenerale, że ja memu optykowi w Paryżu, od którego okulary sprowadzam, wytoczę proces.“

„A to dlaczego?“

„Że mi fałszywe okulary przysłał, bo ja sam w jednym miejscu i to w małym zagajeniu, na krańcu lasu, 60 waszych zabitych naliczyłem, a nad wieczorem — prawda, że zdaleka — ale przez te szkła widziałem, jak pan generał ku Pinczowu umykał.“

„Ho, ho, jaki to z niego filozof“ — obróciwszy się, rzekł Csengery do stojących za nim oficerów.

I tak mu Ritter zaimponował, że, odprowadzając całą partyę do więzienia, jemu przeznaczył pokój w hotelu, dając mu żandarma do strzeżenia.

W Petersburgu, na dworcu kolejowym, odwiedził nas wyżej wspomniany książę Suworow, i, gdy wypytywał się nas o nasze rodziny, dokąd jesteśmy skazani i kto nas sądził, rozmowa zesła, aż na rządy Murawiewa. Pogadanka toczyła się w języku francuskim, którym Ritter wyśmienicie władał, więc do niego obrócony Suworow zapytał:

„A co panowie sądzicie o Murawiewie?“

Ritter odpowiedział bez namysłu:

„Czytałem niedawno w jednym z dzienników francuskich, że akademia francuska szukała wyrazu na *une espèce de canaille*, przeznaczając sto tysięcy franków nagrody. Na to jeden z uczonych wyrzekł „Murawiew,“ i jemu została nagroda przyznana.“

Na tę odpowiedź, podał mu Suworow rękę i wyszedł.

Ritter, będąc awanturniczego usposobienia, bardzo często siebie i całą partyę narażał na nieprzyjemności, czego jednak dla jego szlachetnego serca

i poczucia godności Polaka, za złe mu brać nie mogliśmy.

Kilku oficerów etapnych miało na twarzach dowody porywczosci Rittera. Jedna z najnieprzyjemniejszych takich awantur odbyła się na pólétapie pod samym Krasnojarskiem.

Gdy już nas straż Krasnojarska odebrała od poprzedniej, i na pólétapie w Zelediewie umieściliśmy się, jeden z naszych kolegów, nieodżałowany ś. p. Antoni Miodowicz, poszedł na strażnicę, prosząc, aby świeżej wody do picia przyniesiono, komendant ofuknął go znaną rosyjską klątwą. Ritter usłyszał ten wykrzyknik rosyjski, a, będąc gorączką, uderzył zaraz po karku komendanta, krzyknąwszy:

„Jak śmiałeś coś podobnego Polakowi powiedzieć?“

Komendant odskoczył w tył i wyciągnął szablę; ale Ritter lotem błyskawicy wpada na niego, wzdiera szablę i skacze na tapczan, wywijając w prawo i w lewo. Powstał krzyk, na który wybiegliśmy z naszej izby. Widzimy po drodze uciekających kozaków ku Krasnojarsku, jedni na oklep konno, drudzy pieszo z okrzykiem: „Polacy mordują!“

Po zniknięciu całej straży, spostrzeżliśmy, że nam zostawiła broń, część koni i rządowe pieniądze na wydatki aresztanckiej partyi, które naczelnik naczelnikowi za pokwitowaniem i pod własnym rachunkiem wydaje. Zrobiliśmy wojenną naradę, co tu dalej począć? Nas było 50, aresztantów zaś

przeszło 400. Ale wtedy byliśmy już bardzo respektowani przez towarzyszących nam łotrów, bo, będąc przez nich ustawicznie maltretowani, cierpieliśmy czas jakiś przez to bardzo. Poznawszy jednak ich dobrze, wiedzieliśmy, że niema żadnego innego środka, jak siłą pięści wywalczyć sobie u nich, jeśli już nie rodzaj poszanowania, to przynajmniej bojaźni.

Stało się to w sposób następujący:

Uradziwszy, co i jak począć, czekaliśmy tylko na sposobność, która się zaraz drugiego dnia nastrezyła. Po przybyciu na etap, jeden z naszych, kupiwszy garnek mleka i niosąc go do izby, został z umysłu potrącony, garnek wypadł mu z rąk, rozgniewany uderzył napastnika, i to było hasłem do ogólnej bójki, przy której rozpoczęciu straż konwojna uciekła za bramy więzienia i tam na alarm strzelając, posłała o pomoc ludzi ze wsi. Myśmy do bójki jak jeden stanęli na placu, złodzieje już z początku zaczęli uciekać, a gdy ich starosta, chłop barczysty i silny, rozbójnik z zawodu, został przez naszego młodziutkiego Józefa Czechowicza o ziemię powalony i cały skrwawiony, prosił o darowanie mu życia; taki popłoch między złodziejami powstał, że w parę minut oprócz jedenastu rannych, leżących na ziemi, nikogo z nich nie było na podwórzu. Wszystko schowało się pod tapczany, błagając o darowanie życia. Z naszych było dwóch z przeciętymi głowami, ze strony aresztantów zaś musiano tych jedenastu odwieźć do najbliższego szpitala.

Od tego czasu nietylko między złodziejami, ale i wobec konwojującej straży mieliśmy niezmierne poszanowanie, a nasze położenie wskutek tego o wiele się polepszyło.

Rzekliśmy tedy złodziejom, że kozacy uciekli, a oni są teraz pod naszym dozorem i biada temu, któryby chciał uciec. Pozamykaliśmy ich w izbach i poszliśmy na spoczynek, rozmyślając jakby tu wybrnąć z tego fatalnego położenia.

Jeszcze spaliśmy, gdy nadedniem usłyszeliśmy niezwykle ruch przed więzieniem, otworzyliśmy bramę i zobaczyliśmy przed sobą majora z sotnią kozaków, który zapytał:

„Co tu panowie zrobiliście?“

„Nic“ — rzekliśmy krótko. Poznaliśmy też zaraz po całym obejściu się z nami w majorze porządne-go człowieka, więc opowiedzieliśmy jemu jak właściwie rzecz się miała.

Oddaliśmy majorowi zostawioną broń, konie, kasę i aresztantów w porządku. Podziękował nam major i razem z nim ruszyliśmy do Krasnojarska. Gawędząc całą drogę, poznaliśmy w nim szlachetnego i poczciwego człowieka.

W Krasnojarsku przed więzieniem oczekiwał na nas gubernator Zamiatin z wojskiem na prędcie zebranem.

Major zdał mu raport, przedstawiając całą sprawę na naszą korzyść. Wtedy rzekł do nas Zamiatin:

„Proszę was, nie buntujcie się, bo co ja bym tu z wami zrobił, dział nie mam i dlatego u mnie nie

możecie się buntować, a jako gubernator muszę winnych ukarać i tego, który komendanta straży uderzył, zamknąć każę do „sekretnej.“

Sprzeciwialiśmy się temu wyrokowi gubernatora. Wtem wystąpił Ritter, oświadczając, że on jest ten, który uderzył komendanta, poddaje się wyrokowi i prosi nas, abyśmy nie stawiali oporu.

Ritter, będąc w katordze, narażał się na wiele nieprzyjemności wobec Rosyan. Stawiono go po raz drugi pod sąd, a władza, chcąc mu dokuczyć, wysłała go, jako żyda, do Akatui, gdzie było tylko kilkudziesięciu naszych księży.

Tu Ritter, pomimo że mojżeszowego wyznania, umiał sobie przez swoją szczerość i koleżeństwo zjednać ogólne uznanie i szacunek, i żył w największej zgodzie, niosąc rozmaite koleżeńskie usługi naszym księżom starcom.

Słyszałem, że jako poddany austriacki wrócił do kraju. Chcąc przynajmniej uściśnić dłoń tego szlachetnego kolegi, staraliśmy się dowiedzieć o jego terażniejszym pobycie; nasze starania jednak były dotąd bezskuteczne.

(„Wspomnienia z Syberyi“ — Ludwik Jastrzębiec Zielonka — Kraków, 1906.)

DANTEJSKA DROGA.

Z Permy idziemy do Kongur, miasta powiatowego, położonego już u podnóża gór uralskich, skąd zaczyna się okolica górzysta. W dalszym pochodzie przez Ural, zachwycamy się widokami pięknego krajobrazu. Te górskie widoki przypominały nam nasze Karpaty, miejscami Tatry. W naszej podróży dotąd posuwaliśmy się przeważnie terenem płaskim, miejscami tylko pagórkowatym—nie było więc różnorodności takiej, aby wzrok ożywić a umysł zaciekawić mogła. Dopiero gdyśmy wkroczyli w góry Uralskie, nastąpiła zmiana panoramy—więc nic dziwnego, że nas zainteresowały te swym majestatem odmienne i żywsze widoki. Jesteśmy już w ostatniej stacyi etapowej w Rosyi. Stąd wyruszamy rano i przychodzimy do słupa granicznego między Europą i Azyą. Słup ten murowany, czworograniasty, 5—6 metrów wysoki, z jednej strony her-

bem gubernii permskiej europejskiej, a z drugiej tobolskiej azyatyckiej oznaczony. Tu pogranicze Syberyi.

„Sybir!!“ To wyraz nam nie obcy—z krwawych liter złożony! A ten słup?—to świadek przesuwających się obok niego tylu istot nieszczęśliwych z szarpającym ich bólem—tym towarzyszem im nieodstępnym. On jest świadkiem łez z oczu tu płynących skazańcom za tem, co ukochali a daleko zostawili—a niejednemu słabszemu męskością i nad dola swą nieszczęsną ronionych... I dziwne! dla czego właśnie tu te ciężkie, rzewne i smutne myśli do mózgu i serca tłoczą się? To widok tego słupa sprawia! On podsuwa skazanemu pytanie, czy wróci kiedy do kraju swego i swoich; a ta myśl rozrzewnia go; nie jednemu rozpiera piersi i wilży oczy—i staje z twarzą smutną obrócony w stronę, gdzie mu się serce rwie! Myślą żegna i błogosławi tych, których w sercu aż tu przyniósł: Niech ból mój za wami, moi drodzy, da wam ukojenie, spokój i szczęście, czego ja tu mieć nie mogę... Żegnajcie mi moi ukochani, najmilsi; żegnam cię, mój kraju uroczy—i wszystkich i wszystko, com w tobie ukochał uczuciem miłości bez granic!

W rozczuleniu do jakiejto potęgi miłość ta urosła! Zdaje się, że serce rozsadzi! — a nawet temu, co nigdy nie płakał, łzę wyciska.

Jakaż to chwila uroczysta, poważna; żadnych rozmów—a potężne skupienie myśli, któremi obejmuje skazaniec wspomnienia i wrażenia, jakich w kraju doznał, a które, mój Boże! tak cenne są...

On się tyle razy niemi bawił, a teraz znalazły się tu—nie wiem? czy aby go pocieszać, czy rozrzewnić więcej!

Skończyła się zaduma przerwana głosem etapowego oficera, wzywającego do opuszczenia tego miejsca, gdzie pozwolono każdej partyi wypocząć i stąd pożegnać kraj swój. Aby się pocieszyć i smętne myśli odpędzić na pożegnanie Europy, odśpiewaliśmy „Boże coś Polskę“ i „Jeszcze Polska nie zginęła“, a już ruszywszy stąd: „Stój carze, stój“ — tempem marszu.

W pochodzie przez wschodnie stoki gór uralskich rozmaitość pięknych widoków uprzyjemniała nam tę smutną podróż, aż gdy się weszło do etapu okolonego wysokiem ogrodzeniem z całych jodeł w ścianę obok siebie ustawionych, jakie prawie wszystkie budynki etapowe mają — wstępował do duszy ponury nastrój.

Przechodząc przez góry uralskie, mieliśmy kilku słabych na tyfus. Postanowiliśmy tych nie zostawić po szpitalach, gdyż dowiedzieliśmy się, że śmiertelność tam przerażająca. W Permie w ciągu jednego tygodnia zmarło naszych na tyfus 100; w Ekaterynenburgu, zimą 1864 r., stu pięćdziesięciu*). Z nami szedł zacny Dr. Czerkawski, a jako lekarz z całym poświęceniem i troskliwością zajął się tymi słabymi, a gdy leków żadnych nie było, dawał im kilka razy dziennie po łyżce wódki. Wieźliśmy

*) Kennan „Syberya“, str. 234.

ich na podwodach, dawanych nam pod rzeczy, a dyżur trzymaliśmy kolejno. Świeże powietrze najwięcej tu zapewne działało. Bóg dał, że wszyscy przyszli do zdrowia, bo w szpitalu pewnie byliby pomarli, jak wielu innych, którzy się tam dostali. Te szpitale nigdy nieodkazane, z bakteriami, dla których tam było dobre podłoże, nigdy nie kontrolowane przez władze wyższe—a jeśli kontrolowane niekiedy, to dla formy, a głównie dla dyet kontrolującego. Choćby i zdrowy człowiek wszedł do takiego szpitala, mógł się zarazić i z braku opieki umrzeć.

I ja mam dr. Czerkawskiemu życie do zawdzięczenia. Na etapie jednym spałem przy samym oknie, gdzie szyba była wybita, przez którą chłodny wiatr na mnie wiał i tem zaziębiłem sobie gardło, z czego okazał się skutek groźny, bo gdy rano zbudziłem się, uczułem przykry ból w gardle i już wielką trudność do oddechania i gardło tak mi zapuchło, że głosu dobyć trudno—i czuję, że się duszę. Idę do d-ra Czerkawskiego i na migi pokazuję mu gardło. Zaraz wylapisował mi, poczem wkrótce puchlina zeszła, mogłem już mówić i podziękować mu. Przecież szczęście dla mnie, że miał kawałek lapisu—inaczej mógłbym się być udusić.

Wspomnę o Głuchowskim, artyście malarzu. Na jednym etapie naszkicował węglem na drzwiach portret oficera etapowego, a tak schwycił podobieństwo, że gdy oficer spojrzął na drzwi, zaraz siebie poznał i pyta się, który „taki majster“. Wskazaliśmy mu artystę.

„Bardzo dobrze—mówi,—tylko szkoda, że nie w „paradnom mundire“, kazałbym te drzwi wyjąć i schować.“

Pierwszem większym miastem w Azji na szlaku naszej drogi jest Ekaterynenburg, miasto fabryczne, huty żelazne, odlewnie i warsztaty różnych wyrobów z żelaza tam się znajdują. Miasto jest pięknie położone i czysto utrzymane. Pozwolono nam kilku pójść i oglądnąć to miasto. Przy tej sposobności wstąpiliśmy do huty żelaznej z odlewnią, której zawiadowcą był Niemiec, o czym gdyśmy się dowiedzieli i do niego po niemiecku przemówili, bardzo był nam rad i z chęcią oprowadzał po fabryce, całe urządzenie pokazał i objaśnił w szczegółach, a potem zaprosił do siebie na piwo. Natrafiliśmy, jak odlewali do jakiegoś zakładu fabrycznego różne kawałki, a w szczególności zwróciło naszą uwagę olbrzymie koło rozpędowe, które swym ogromem zajęło większą część dużej sali w tej odlewni. Wyprowadził nas na wierzch pieca, skąd z roztopionej płynnej rudy przerażający żar buchał. Wystawiałem sobie, gdyby w ten bezmierny żar człowiek wpadł, w jednej minucie możeby i śladu z niego nie pozostało, bo strawiłby go do szczętu. Niemiec uradowany, że mógł z nami po niemiecku poszwargotać, zapraszał, abyśmy znów przyszli. Nie mogliśmy życzeniu i zaprosinom jego zadość uczynić, gdyż nas niebawem w dalszą podróż do Tiumenia wytransportowano.

Gościniec jekaterinbursko-tiumeński na całej długości z wyjątkiem okolic leśnych, jest wysadzony

po obu stronach przepyszniemi płaczącemi brzozami, które, splatając się wzajemnie gałęziami, tworzą sklepienie nie przepuszczające promieni słonecznych. Milowe odległości przebywaliśmy pod tym zielonym baldachimem, spierającym się na srebrnobiałych słupach. Podanie niesie, że brzozy te posadzono z rozkazu Katarzyny II, stąd też ta część gościńca nazwaną jest „aleją jekateryńską“.

Wkraczamy do Tobolska, miasta gubernialnego. Gubernatorem tam był Despot Zenowicz, Polak, jeszcze młody człowiek jak na takim stanowisku, około czterdziestu paru lat; szlachetnych rysów twarzy, elegancki, w obejściu ujmujący, bardzo prawego charakteru, a przytem energiczny. Po naszym przybyciu wszedł do naszej kwatery w tiurnie, po polsku uprzejmie powitał i spytał się, czy nie mamy jakich żądań? Prosimy, aby pozwolił nam do miasta wychodzić—na co zezwolił—również inne nasze prośby, możliwe do spełnienia, uwzględnił.

Urzędnicy, jemu podwładni, bardzo się go bali, bo ostro ich trzymał i wszelkie nadużycia srogo karcił, a jednak lubieli go, bo był dla nich sprawiedliwy, uczynny i dbający o ich dobro.

Ze zesłanych na posiedzenie do tobolskiej gubernii zastaliśmy tu naszych kilku w mieście osiadłych, którym Zenowicz na to pozwolił. Ci trudnili się tu, czem kto mógł: to handlem, rzemiosłem, fabrykacją papierosów i czem kto umiał się zająć.

Zenowicz zorganizował wysyłanie partyi politycznych pocztą ziemską, zwaną tam „perekładnymi“. Taka ekspedycja politycznych w ten sposób była pomysłem Zenowicza, a zaprojektowana rządowi dla zaoszczędzenia karmowego w długich pochodach etapami, a raczej pewnie z myślą dla naszego dobra, aby nam skrócić czas pochodu, a także aby uwolnić od niedających się opisać przykrości na etapach, a głównie — co dla nas było najprzykroczym — dla uwolnienia nas od towarzystwa kandalszczyków. Od kandalszczyków bowiem doznawaliśmy rozlicznych przykrości, a nawet nieraz walkę staczać z nimi przychodziło. Można sobie wystawić nasze przykre położenie, gdy ze strasznymi zbrodniarzami i ostatnimi wyrzutkami społeczeństwa żyć musieliśmy i znosić często obelgi i różne od nich przykrości. Żyło się zatem w ciągłych udręczeniach, a jakie one były, chciałbym choć słaby dać obraz.

Z reguły kandalszczycy trzymali czoło pochodu w partyi, zatem pierwsi na etap wstępowali, a przez to mogli najlepsze i najdogodniejsze tam miejsca zająć, a do tych zaliczało się, aby umieścić się na pryczy. Jednak, gdy przy budowaniu etapów miano na względzie w przybliżeniu cyfrę aresztantów, jaka w jednej partyi znaleźć się może, zatem do tej ilości zastosowano rozmiar budynku, a zarazem i wewnętrzne urządzenie. Nie liczone pewnie wówczas na wyjątkowe zdarzenia, jak np. chwilę, jaką powstanie z r. 1863 przyniosło, kiedyto masami naszych transportowano, a których liczba, bywało,

w dwójnasób i więcej w partyi liczbę zbrodniarzy przewyższała; zatem miejsca dla wszystkich na pryczach nie było, więc dla tych, którym tam nie stało, nie było innej rady, jak pod pryczami umieścić się. Trudno wystawić sobie, jaki tam był brud, fetor i kupy śmiecia! Zanim przyszło się tam wsunąć, trzeba było czemś te śmiecie wygarnąć. Lecz jak usunąć nieznośny smród, duszące gazy i wilgoć? Niema wyboru, bo na pryczach prawie jeden na drugim leży, więc w tych przykrych okolicznościach musi się i pod pryczami miejsce zająć.

Już przy wejściu do etapu uderza nieznośna, dusząca, specjalnie etapowa woń. Z kloak rozchodzą się straszliwie cuchnące, a gryzące nos i oczy gazy. Po zamknięciu drzwi i wniesieniu „paraszki“ na noc, gdy do tego kandalszczyki pościągają z nóg obuwie i porozwieszają onucze, jedne i drugie przykrą woń wydzielające, wszystko zmieszane z nieznośnym odorem z paraszki, gazami w kaźni, wyziewami brudnego ciała — składało się na takie gęste powietrze, że można się w niem udusić; „nie siekierę“ — jak mówią — ale cetnarowy kamień powiesićby można. Już w chwilę po zamknięciu drzwi, to ciężkie, duszące powietrze izbę wypełnia i zdaje się, iż jednego atomu czystego powietrza niema. W lecie jeszcze pół biedy — można okno otworzyć, lecz w zimie i to trudno, bo między kandalszczykami są tacy, co okna otworzyć nie dadzą, wołą tym smrodem oddychać, byleby im ciepło było, aż do wywołania potów. On, prawdziwie „ruski człowiek“, przy czaju, w łaźni i kaźni pocić się lubi —

a gdyby kto chciał wzbronić mu tej przyjemności, to za otworzenie okna urządziłby awanturę, a nawet gotówby bić się.

Zdarzało się, że paraszka przepelniła się, a natenczas zawartość z niej rozlała się po kaźni i podtopiła nieszczęśliwców, co pod pryczą umieścić się musieli. Można sobie wystawić przykre położenie biedaka, gdy we śnie uczuł się w takiej kąpiel!

W drodze zdarzało się, że słota, a bywało i ulewa przemoczy do nitki. Więc tak przemoczeni i zabłoceni, a w zimie oblepieni śniegiem, gdy na pryczy miejsca nie stało, pod pryczą na wilgotnej ziemi spać musieli. O wysuszeniu ubrania mowy niema, bo gdzie i jak? W mokrem szło się — w mokrem spać się będzie — i w mokrem dalej się pójdzie. A tu człowiek pochodem znużony, radby jaknajprędzej — aby tylko głód zaspokoił — gdziebądź i jakkolwiek położyć się, aby zasnąć. Już jest pod pryczą... wdychuje w siebie wilgotne i cuchnące powietrze i próbuje zasnąć — ale czy pozwoli mu oczy skleić różnego rodzaju robactwo, które tak zawzięcie do niego dobiera się? Ach, to robactwo, co za straszna plaga! Niema sposobu pozbyć się go. Przed chwilą z tego, co go gryzło, co znalazł w bieliźnie i na ciele — oczyścił się, a tu po chwili inne oblaźło i morduje — i tak ciągle i ciągle! Pluskwy szły w zawody z drobniejszem robactwem barwy czarnej i białej. Swędzenie zmuszało do drapania się, z czego aż rany po ciele robiły się.

Przy tem udręczeniu, przy nieznośnem nad wyraz obcowaniu z ostatnimi wyrzutkami społeczeń-

stwa, zarówno przykrem było ciągle stykanie się z konwojem, z tem żołdactwem gburowatem, a jeszcze gorzej, gdy trafił się komendant od konwoju grubianin, awanturnik, złośliwy, a często i pijak. Taki, przyzwyczajony do traktowania zbrodniarzy jak bydło, gdy i z nami chciał tak postępować, wówczas musieliśmy stawać w obronie naszej czci i honoru, z czego powstawały awantury, doprowadzające często do czynnego starcia z konwojem. Nerwy nasze ciąglemi przykrościami tej niedoli szarpane, a uwłaczaniem naszej czci i ambicyi były naprężone do wysokiego stopnia, zwłaszcza z upokorzenia, gdy niemoc naszą zobaczyliśmy. Nieraz panowanie nad sobą już ustawało i zdawało się, że złość nas poszarpie — i wtedy byliśmy gotowi bez względu na następstwa, rzucić się na dręczycieli naszych. Co dzień przyniesie, przewidzieć trudno, bo lada błahy powód przy tym rozstroju nerwów wywoływał zajścia, których następstwa nie bywały do przewidzenia. Nosiło się zatem w sobie ciągły niepokój; wszystkie więc udręczenia łączyły się, aby naszą nędzę spotęgować i dołę przykrą, o ile tylko da się, uczynić.

Często z poprzedniego etapu wyszło się na czczo — przestrzeń między etapami 30—40 wiorst. Już dobieć nic się w ustach nie miało, zmęczeni i głodni dobiliśmy się nareszcie do etapu; czuje się gwałtowną potrzebę wypoczynku i zaspokojenia głodu. Porozsiadały się wprawdzie straganiarki z różnem, nie bardzo nęcącym oko i powonieniem jadłem, jednak jak się do nich docisnąć, kiedy hurma kandalszczy-

ków z paszczekliwemi towarzyszkami obległa stragany ze wszystkich stron, że dostać się tam trudno, chyba z użyciem pięści, a przeto z perspektywą narażenia się na oddanie wet za wet. Aby tego uniknąć, lepiej zaczekać, aż oni załatwią swoje zakupna i odejdą, a my wtenczas bez przeszkody coś kupić będziemy mogli.

Przywilej sprzedawania mają przedewszystkiem żony żołnierzy od konwoju. Na naczelnym dogodnym przystępie siedzą one przy straganach, na których porozstawiały duże garnki, poobwijane brudnemi szmatami, aby jedzenie w nich nie stygło, a obok w różnych naczyniach etapowe przysmaki. Za nimi umieściły się baby ze wsi, za opłaceniem się oficerowi etapowemu, z podobnem jadłem. Tym taniej jak żołdatkom sprzedawać nie wolno, aby konkurencyi nie było.

„Szczej“ (kapuśniak), nacyonalna potrawa każdego Moskala, być musi; jest jakiś krupnik, dalej „pochłopka“ (zupa, niby to rosół, a więcej na pomyje wyglądająca) — leżą pokrajane kawałki mięsa zgotowanego i niby pieczone („żarkoje“) — oba mięsa może z dorzniętej lub zdechłej sztuki. Na wielkiej misie leżą „aładie“, rodzaj pampuchów smażonych na oleju; dalej „szangi“ (placki posmarowane z wierzchu rozrobionym twarogiem lub śmietaną), w garnuszkach mleko, w końcu jaja, chleb, ser, bułki. Czasem zjawi się gotowana lub pieczona kura, kaczką, albo i prosię. Jedno i drugie prawdopodobnie przed śmiercią noża nie widziało, kiedy godnie tu miejsce zajmuje.

Zbrodniarze na kapuśniak, krupnik i pochłopkę nastawiają naczynia — chochla tej zupy kosztuje kopiejkę i wyż. Inni zbrodniarze i ich „damy„ grupują się wokoło mięsa. Każdy kawałek był w ich ręku — to samo z pampuchami i szangami; po obmacaniu tych przysmaków, oblizują palce. W czasie tego zakupna harmider, potrącania, kłótnia, przekleństwa. Tu straganiarka narobiła wrzasku, bo któryś kandalszczyk porwał jedzenie, nie zapłacił i uciekł. Rozlega się krzyk: łapaj! łapaj! „nie ujdiesz sukinsyn“ — ale nikt nie łapie, a złodziej pomimo zapowiedzi, że nie ujdzie — spokojnie sobie poszedł i za innymi powtarza „nie ujdiesz!“ Te wrzaski i tumult, zmieszane z brzękiem kajdan, stwarzają istne piekło!

Nareszcie kandalszczyki uporali się ze swojemi zakupnami — i odeszli. Teraz przystępujemy i my, aby coś kupić. Wygląd i zapach tych zup wzbudza wstręt, zwłaszcza, gdyśmy widzieli, jak z warzechy, którą baba czerpała ten specyał, dała niejednemu skosztować na dowód, jaki smakowity — a tylu już wąsy i usta umaczało. Pozostałe kawałki mięsa, obmacane łapami niejednego, pampuchy, placki i inne delikatesy także były w brudnych rękach. Zatem nie pozostaje wiele do wyboru — musi się brać, co jest i możliwe jeszcze do spożycia, a zatem: chleb, bułki, jaja i ser; ten ostatni, choć podróż przez brudne palce odbył, w końcu po oskrobaniu zjeść będzie można.

Spostrzegamy, że niektóre przekupki z pod fartuszków, a raczej z dalszych rejonów swego ubra-

nia dobywają garnuszki i miski z specjalnemi potrawami, co aż tam ukryły głęboko przed kandalszczykami, bo „Polaki“ naród delikatny, coś lepszego potrzebują i lepiej płacą, niż „nasz ruski“. To lepsze, a tak starannie ukrywane, było to: jajecznicą na mleku, „bliny“ (grube drożdżowe naleśniki) i piecyste, nie do poznania, z jakiego, a może i dzikiego ptactwa? Uśmiechało się to do naszych głodnych żołądków, a sprzedawczynie umiejętnie drażniły nasz apetyt, swoim sposobem zachwalały bez miary te osobliwości, odwołując się przytem na naszych z poprzednich partyj, którzy nie mogli się dosyć tych potraw nachwalić. Jeśli tak było, to pewnie nie zauważyli, w jakim ukryciu i dość długo przebywały — a co chytrze udało się nam podglądnać; a natenczas z racyi tych podejrzanych skrytek trudno było nabrać uczciwego zaufania do tych osobliwości kucharskich; przeto wstrzymaliśmy się od nabycia tych smakołyków. Ta rezerwa dziwiła niepomnie te żywicielki i srodze były obrażone i złe na nas, może nie tyle, żeśmy z tego nic nie kupili, ale więcej za afront, uczyniony z racyi ich skrytek, które tak niemiłosiernie zdyskredytowaliśmy.

Jednak nie na każdym etapie znalazł się taki zapas różnych wiktuałów i potraw. Często tylko kapuśniak, jakaś pochłopka i chleb — i aby tylko dostać, poprzestawało się na tem.

Wracam do opisanego etapu. Po zakupnie, co było możliwe do spożycia, żołnierz za drobną zapłatą nastawia samowar — a mieliśmy kilka w par-

tyi. Przy tem więc zakupnie pijemy herbatę z prykuską lub z pyrdumką — i to stanowiło śniadanie, obiad i kolację.

Tak z małą odmianą tego trybu życia szło się od etapu do etapu, a wszędzie towarzyszyły nam różne utrapienia i ciężar niewoli.

W niektórych partyach były i nasze Polki męczennice; wiele z nich towarzyszyło swoim mężom dobrowolnie; były to niewiasty wielkiego serca, hartu duszy i niesłychanego poświęcenia. Były także takie, co szły skazane do robót katorżnych, lub na posilenie za udział w powstaniu, w organizacyi, lub za poświęcenie się dla sprawy ojczystej. One wszystkie stokroć więcej pożałowania godne, bo srogość podróży etapami stawała się dla nich o wiele cięższą, niż nam i nad ich siły. Na etapach i w podróży staraniem naszym było o możliwe dogodności dla nich, aby choć w części ulżyć im w tej niedoli. Jeśli nie znalazło się osobnej izby dla nich, natenczas zasłaniało się jakiś kącik, aby bez żenady pozostać tam mogły. Sadowiliśmy je w pochodzie na furmanki, dawane nam pod rzeczy i t. p. dogodności czyniło się.

I w partyach zbrodniarzy, jak powyż napomknąłem, były kobiety za zbrodnie zesłane. O zgrozo! jakieżto wyuzdane, bezwstydnne—prawdziwe potwory, nie kobiety. Z ich powodu bywały między zbrodniami kłótnie, kończące się nieraz bójką; niespokój ciągły w partyi, intrygi, przekleństwa. Na orgie ich musiało się oczy zamykać, i uszy zatykać, gdy zbrodniarze zaczęli się swoimi zbrodni-

czymi czynami przechwalać. Natura ludzka wzdrygała się na te historye — a ten, co najstraszniejszą zbrodnią mógł się pochwalić, był u nich w największem znaczeniu. To ich chluba, to ich bohater! I takiego zwykle na „starostę“ (przedstawiciela partyi) obierali. Każda bowiem partya, czy naszych, czy zbrodniarzy, musiała z pomiędzy siebie wybrać starostę takiego, na którego ręce pieniądze karmowe etapowy oficer wypłacał, a ten dalej rozdawał; również w imieniu partyi odnosił się do władzy z prośbami lub zażaleniami — i taki, jeśli był sprytny i rozsądny, wiele dogodności dla partyi wywalczył mógł, bo z nim się komendanci etapowi liczyli.

Żeby wiernie opisać wszystkie dolegliwości i utrapienia, jakie pochód etapami sprawia, trzeba by być pisarzem z zawodu i to z talentem do malowania zgrozy — a moje opowiadanie może tylko słaby i nieudolny dać obraz tego, co ja i moi towarzysze w tym pochodzie przeżyli.

Gdyby mogło być zmazanie wszystkich win człowieka przez pokutę, to wskazana pokuta przejściem przez etapy — wystarczyłaby na to. Gdyby żył w dobie tych wędrówek Dante i przeszedłby się etapami, nie szukałby w fantazyi tematu do stworzenia dzieła swego o „Piekło“, bo na ziemi po drodze etapów, znalazłby go!

(„Wspomnienia z powstania 1863 roku i z życia na wygnaniu w Syberyi“ — Kornel Zielonka — Lwów, 1913).

NA WYGNANIE.

I.

Chwilowy pobyt w petersburskim „Etapie“ dał nam poznać niechętnie nader usposobienie miejscowego ludu ku Polakom. Przy wejściu i u wyjścia pospólstwo osypywało nas gradem obelg i polajanek. Tłum wrzeszcząc: palaczki! buntowszczyki! ciskał na nas zmarzłe grudy błota. Wściekłość jego rosła w miarę spokoju naszego. Zaczęły świstać kamienie. I gdyby nie wojsko, moglibyśmy być rozszarpani. Zachowanie się tłumu przypominało dzikie czasy Piotra Wielkiego. Wrogą wrzask towarzyszył nam, aż na dworzec kolejowy. Ruszyliśmy wreszcie pod wrażeniem tego nienawistnego wycia, które na biednych Mazurów oddziaływało przygnębiająco.

Umieściwszy starannie obraz Częstochowskiej w wagonie, gromadka odśpiewała antyfonę do Matki Boskiej, a ukojona modlitwą, zwróciła się do mnie,

prosząc rzewnie, bym się nią jak ojciec opiekował w drodze. Nie znali języka rosyjskiego i ich akcent koroniarSKI był też niezrozumiałym dla nikogo. Gdy im solennie wszelką pomoc obiecał, rozjaśniły się nieco ich łzawe oczy i wdzięczny pocziwy uśmiech zakwitł na bladych twarzach. Odtąd w Mazurach miałem tak wiernych i oddanych sobie ludzi, jakich już więcej w życiu nie widziałem.

Pociąg biegł po równinie, bezludnej niemal, lekko przyprószonej śniegiem.

„Kraina pusta, biała i otwarta, jak zgotowana do pisania karta...”—myślałem, patrząc w dal przez zakratowane okno i powtarzając słowa wieszczka...

Nie zatrzymywaliśmy się na stacyach, ale w polu. Może nie chciano nas narażać na powtórzenie scen petersburskich, na wybuchy niechęci ludowej.

Kraina pusta! Palec Boski nie wypisał dotąd na niej żadnych zgłosek... Zdala majaczą rzadkie a nędzne wioszczyzny, gdzie niegdzie błysnie kopuła cerkwi i znów puste, bezleśne, karłowatą czasem sośniną porośnięte pola. Nigdzie fabryk ani pełnych ruchu osad. Zamarłe, śpiące przestrzenie.

Kiedyż to wszystko do życia się zbudzi...? Moskwa! Zdaleka ukazały się jej zielone, ciężkie kopuły cerkiewne. Mazurzy nasi ze strachem czekali nowych napaści tłumów, gdy nas z dworca kolejowego przeprowadzano do tak zwanego „Kołomeńskiego Dworu“. Lecz, gdy w Petersburgu obrzucano nas błotem, to pobożny lud moskiewski—witał dobrem słowem, pełnym współczucia. Podawano jadło i groszaki, które brali żołnierze.

Tłum rósł ciągle, a równomiernie rosły oznaki liutościwej życzliwości. Przybyli kupcy, przykaszczyki, sypiąc hojnie pieniądze dla więźniów. Handlarki podawały im pierogi, obwarzanki, mięsiwo, a lud szeptał modlitwy i błogosławieństwa.

Z datków uzbierała się taka moc pieniędzy, iż na każdego więźnia, a przybyło ich w tym pociągu około stu, wypadło po 17 rubli. Rozdzieliliśmy je dla biedaków, i rad byłem, iż nasi Mazurzy otrzymali pewien zasilek. Poweseleli nieco. To serdeczne przyjęcie przez lud moskiewski napełniało ich otuchą na przyszłość.

W Kołomeńskim Dworze, stanowiącym ciężkie więzienie, pozostawiono skazańców do katorgi. Wysłanych na „osiedlenie“ popchnięto do drugiego obok leżącego Dworu, zwanego „Przesylnym“. Oba te więzienia przepełnione już były wygnańcami po brzegi. Uskarżano się na ogromny napływ więźniów z Litwy i Polski. W więzieniach panował tłok straszny i niewypowiedziany nieład. Zagubiono spisy więźniów, nie wydawano pieniędzy na pożywienie. Wielu skazańców zdołało umknąć w tym chaosie. Nawet z owego „Przesylnego Dworu“, gdzie byłem z Mazurami mymi, sporo ludzi zbiegło. A nikt nie wiedział wcale o tem.

Zbieraliśmy się w partye do dalszej drogi. Pozwalano na to. Każdy mógł dobierać sobie odpowiednie kółko. Był tu ogrom rodaków ze wszystkich ziem i gubernii, więc i wiązanie się w grupy nie było trudnem. Nasza utworzyła się przeważnie z Mińszczuków, powiatników i znajomych. Przy-

łączyliśmy do niej zesłańców z Królestwa, moich Mazurów i tak ruszyliśmy koleją do Niżniego.

Między Moskwą i Niżnim krajobraz nieco więcej ożywiony i urozmaicony. Ziemia, porżnięta wielkimi rzekami, snadź lepsza i bogatsza, lecz jej miejscowy lud uprawiać nie umie, a może i nie chce. Rybołówstwo daje więcej chleba, niż rola. Choć twarze ludzi ponure i smutne, widać tu pewien ruch.

Gdzieniedzie miga i komin fabryczny.

Wreszcie szeroką płaszczyznę zamyka siostrzany uścisk Wołgi i Oki. Pierwsza, przytuliwszy drugą, toczy dalej swe wody, lecz poza nią niespodziewana dla oka wśród równiny wyniosłość, na wysokim szczycie której rozsiadł się starożytny Kreml, dawna siedziba chanów tatarskich. Pomimo wschodniego, banalnego typu, jakim się całe miasto cechuje, ten zamek na skale i te dwie wielkie rzeki, wijące się u stóp jego, tworzą piękny, niemal wspaniały widok, jedyny zresztą, jaki w ciągu długiej pielgrzymki na Sybir uderzył mię w oko i większą zwrócił uwagę.

W widoku tym było jednak coś groźnego i ponurego... Wiał zeń jakiś duch średniowieczny, budząc pamięć dzikich hord tatarskich i okrucieństw Iwana.

W Niżnim kończyła się wygodna stosunkowo do-
tąd podróż koleją. Żegluga na Wołdze była zamkniętą. Panowała już tu ostra zima i dalszą drogę etapem czyli pieszo odbywać należało. Z dworca zostaliśmy przeprowadzeni do więzienia, gdzie nas

odwiedzała Idalia Maszewska, córka Prószyńskich z Zasławia. Mąż jej, naczelnik partii powstańców w Słuczczyźnie, zabity został w pierwszej potyczce—ona zaś wygnana do Niżniego.

Spotykała niemal każdą grupę zesłańców, zwłaszcza z Litwy i Białejrusi. Dowiadywała się o losach kraju i swej rodziny i wzajem informowała o wygnańcach, rozrzucanych ztąd przeważnie po wszystkich stepach Rosyi.

W Niżnim kazano nam zaopatrzyć się we wszystko, czegobyśmy w długiej wędrówce etapem potrzebować mogli.

Stały wielkie mrozy i szalały zamiecie.

Przed nami leżała ciężka, pełna mąk droga.

Robiliśmy więc za pośrednictwem żołnierzy zakupy i nowe formowali partye, z których każda musiała sobie wybrać tak zwanego „starostę“ czyli przywódcę.

Wraz z politycznymi skazańcami szła na Syberię grupa cywilnych zbrodniarzy i złoczyńców, którzy, tworząc oddzielną partyę, wybrali sobie z łona swego odpowiedniego starostę.

Nasi powołali mnie na przywódcę swego. Chociaż wybór ten był wyrazem ogólnej ufności, chciałem się jednak od obowiązku tego odmówić, lecz tak uparcie mię wzywano, iż nakoniec uleść musiałem i stanąć w roli starosty na czele partii wygnańców polskich.

Starosta obowiązany był utrzymywać ład i porządek w partii, zaopatrywać ją we wszystkie potrzeby, myśleć o jej wygodach, bronić od wszel-

kiej krzywdy. Starosta odpowiadał przed władzą za całość partyi, za ucieczkę więźniów, za nielegalne ich postępowanie. On jeden w imieniu partyi mógł się porozumiewać z władzami, przedstawiać skargi, potrzeby lub prośby.

Partya moja liczyła 147 ludzi. W skład jej wchodzili i Mazurzy moi z Królestwa wraz ze swym ciężkim obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, który dźwigali ze sobą.

Musiałem, wedle zwyczaju, odebrać z rąk władzy więziennej ubranie dla każdego aresztanta, oraz tak zwane „pieniądze etapowe“, po 15 kopiejek dla klasy uprzywilejowanej, to jest dla szlachty i po 10 kop. dla nieuprzywilejowanych. Pieniądze te wydawały się więźniom na każdym etapie i stąd się „etapowemi“ zwały.

Zaczynałem powoli oryentować się w sytuacji, słuchając uważnie różnych rad i przestroóg, udzielanych przez dozorców więziennych oraz innych pocziwych ludzi. Tyle już naszych skazańców przeciągnęło tędy, torując drogę tym, co szli za nimi!... Jak rzeki, rozlewały się po Rosyi we wszystkich kierunkach partye wygnańców polskich, w tych pochodach ciernistych wydeptały całą jej ziemię. A że wszędzie zostawiały po sobie pamięć dobrą wśród ruskich ludzi, więc i ci wzajem starali się Polakom okazywać wszędzie życzliwość swoją.

Wiedziałem już, iż przedewszystkiem należało pozyskać względy oficera etapowego, pozostawiając mu część ubrania aresztanckiego, przynależnego więźniom. Oficer bowiem tem spekulował. Wy-

brałem więc tylko rzeczy niezbędne dla uboższych towarzyszy, wiedząc, iż w każdej gubernii aresztanci nową odzież dostają. Wychodząc z Niżniego, mogliśmy potrzebne ubranie otrzymać w Kazaniu. Umiarkowanie moje w tym względzie zjednało mi oficera i zapewniło dla mojej partyi pewne ulgi z jego strony.

Nadszedł wreszcie dzień wymarszu. Na dworze szalała zamieć śnieżna i wyl mroźny wiatr wschodni. W porze letniej wygnańcy transportowani byli do Kazania wodą, ale obecnie, gdy nawigacja już była zamkniętą, musieliśmy pieszo brnąć w śniegu.

W partyi mojej, składającej się nietylko ze skazanych na osiedlenie w Syberyi, lecz i osądzonych na ciężkie roboty, było sporo kobiet i dzieci. Dla szlachty, do przewożenia rzeczy, dawano jedną furmankę na dwie osoby. Nieuprzywilejowani nie dostawali „podwód“ wcale i manatki swe na własnych plecach dźwigać musieli.

Szło mi więc o to, aby przez wzgląd na słabszy element w partyi jak największą ilość furmanek otrzymać, tembardziej, iż leżało we zwyczaju wydawanie na następnych etapach takiej ilości „podwód“, jaka przychodziła z pierwszego etapu. Musiałem więc porozumieć się z oficerem, który okazał się nader uprzejmym i pod pretekstem wielu chorych w partyi dał mi żadaną ilość furmanek.

Dostarczanie „podwód“ dla zesłańców należało do powinności włościan. Rząd nic za to nie płacił.

Zaopatrzywszy się w ciepłe buty, szale, wojski—wyruszyliśmy w drogę.

Ziemia, ludzi z towarzystwa, tak zwanej dziś inteligencji, była w partyi garść spora.

Wiele nazwisk uleciało mi już z pamięci, choć dotąd pamiętam twarze wszystkich moich towarzyszy niedoli. Między innymi szli razem ze mną na wygnanie: Michał Makowiecki z gub. mohylewskiej, doktor Samajło, Stankiewicz, Antoni Weryho, publicysta, Edmund Weryho, dr. Józef Piekarski, Jan Czarnocki, Zamościcki z Warszawy, Żurakowski z Królestwa, Waysiatycz, Hryniewiecki, dr. Porsset, Świeżyński, Wincenty Klimowicz, dwaj nasi towarzysze z powstania: Grudziński i Downar oraz wielu innych.

Zrobiwszy znak krzyża świętego przed sobą, pociągnęliśmy długim łańcuchem ku wschodowi. Żołnierze poprzedzali i zamykali ten smutny tabor. Na saniach złożyliśmy nasze rzeczy i ulokowaliśmy kobiety i dzieci. Większość wygnańców szła piezo. Słabsi czepiali się sań i podjeżdżali nieco.

Wśród białej równiny osypana śniegiem karawana nasza czyniła wrażenie żałobnego, cmentarnego pochodu. Poświsty wichru wygrywały ponure melodye, a w duszach ludzkich huczała burza rozpacznych myśli i uczuć.

Przed nami leżał—mrok. Otwierała się cała Golgota cierpień i wysiłków... Za nami—jasny, ciepły kąk rodzinny, ta droga ziemia, której już może nigdy nie ujrzą oczy nasze... Każdy krok oddalał nas od niej, oddalał niepowrotnie może... Zdawało

się, iż ciężkiej tej drogi nie przebędziemy chyba i tak, jak wielu innych, zasiejemy te stepy kośćmi naszymi.

Przed oczami przesunął mi się obraz domu rodzinnego, twarze ukochanych i jasna główka narzeczonej, pochylona niewątpliwie tęsknotą... Ze dna duszy zaczęły się podejmować bolesne a tkliwe uczucia. Wnet je jednak stłumiłem, wracając do obowiązków starosty.

System drogi etapowej był taki: dwa dni marszu,—dzień wypoczynku. Cała droga podzielona na kordony wojskowe, którymi zawiadywali oficerowie, posiadający w rozporządzeniu czterdziestu żołnierzy. Żołnierze każdego kordonu odprowadzali partye zesłańców do środkowego, noclegowego punktu kordonu, gdzie spotykali inną partyę, wracającą do Rosyi a eskortowaną przez żołnierzy następnego kordonu. Na noclegach więc następowała wymiana partyi. Eskorta partyi dążącej na wschód, zabierała partyę, ciągnącą do Rosyi, eskorta zaś ostatniej brała w swą opiekę partyę, kierującą się ku Syberyi. Tym sposobem, handlując się partyami, żołnierze wracali do kordonów swoich.

Noclegi w ciasnych etapowych domach były bardzo ciężkie, panował bowiem ścisk i zaduch straszny oraz brud niewypowiedziany. Ludzie dusili się literalnie z braku powietrza.

II.

Partya kryminalistów stanowiła w pochodzie naszym zwykle straż przednią. Puszczano ją naprzód w celu zwrócenia zbrodniarzy do pomocy żołnierzom w razie buntu więźniów politycznych. Kryminaliści przychodzili więc pierwsi na etap; acz stanowili liczebnie mniejszą grupę, zdobywali sobie przemocą większą więzienną izbę. Nas pakowano wszystkich razem, jak mężczyzn tak i kobiety, do ciasnej kamery, gdzie, wzięci pod klucz, ściśnięci jak śledzie w beczce, musieliśmy załatwiać na miejscu wszelkie potrzeby swoje.

Trudno dziś przedstawić młodszym czytelnikom ówczesne więzienne etapy rosyjskie. Wyobraźcie sobie ściek nieczystości wszelkich, gniazdo robactwa, budę o niskim pułapie, nieprzewietrzanym nigdy, ziejącą odorem potów i ekskrymentów ludzkich, o ścianach przesiąkniętych trującymi wyziewami. W tej strasznej atmosferze dużo osób mdlało, zapadało na zdrowiu i zmierało na różnych etapach.

Jak Dante, za życia przeszliśmy również przez to piekło, na wspomnienie którego dziś jeszcze, po latach tyłu, obejmuje mię dreszcz wstrętu i grozy.

Po ciężkiej całodzienniej drodze, strudzeni i głodni, nie mogliśmy ani się położyć, ani zasnąć, ani przełknąć szklanki herbaty. Trudno było dostać jakieś jadło na etapach, stojących w polu, lecz choćby ono i było, odsunęlibyśmy je ze wstrętem.

Woń panująca w izbie odbierała wszystkim apetyt. Wybijaliśmy raz po raz szyby w oknach w celu wypuszczenia świeżego powietrza i orzeźwienia mdlejących. Po każdym noclegu na etapie zwiększała się liczba chorych w mojej partyi.

Szło więc bardzo o to, aby na dzień wypoczynku, tak zwanej „dniówki“, przypadającej zwykle na etapach, stojących u skraju długich wsi rosyjskich, uzyskać pozwolenie na rozlokowanie więźniów w chatach włościańskich. Starosta brał na siebie odpowiedzialność za ucieczkę aresztantów, uwalnianych z etapu.

Chłopi rosyjscy przyjmowali nas chętnie, bośmy w każdej chacie coś utargować dali i za nocleg — płacili.

Był to jedyny wypoczynek wygnańców w ich ciężkiej nad wyraz drodze.

Nie zawsze jednak i nie z równą wszędzie łatwością zezwolenie władzy na opuszczenie etapu zdobywać mogłem. Garnizon etapowy składał się przeważnie z najniższych moralnie elementów, z szumowin wojskowych, ludzi głupich, złych a chciwych. Brało się ich za pomocą łapówek w tej lub owej formie. Wśród oficerów wielu było renegatów, Polaków i Żydów. Ci zdradzali najpodlejsze instynkta i z barbarzyńską rozkoszą wyzyskiwali więźniów. Lecz i do tych trafić umiałem. Rubel torował drogę wszędzie. Im partya zesłańców była zamożniejszą, tem większe względy u władz etapowych miała. Hołotę traktowano, jak psy. Wkrótce postrzegłem, iż chcąc pozyskać sobie oficerów,

należało pewną grzeczność wyświadczyć ich żonom. Zamawialiśmy więc u nich obiady na etapach, z czego baby były nader zadowolone. Darły nas okrutnie, ale karmiły dobrze. Mężowie wpadali w dobry humor i różne więźniom okazywali względy. Tym sposobem niejedną ulgę zdobyło się dla partyi.

Poznając coraz głębiej manipulacje etapowe, przekonałem się, za późno niestety, iż, im mniejszą liczebnie była partya zesłańców, tem lepiej i łatwiej radzić sobie mogła. Nasza była zbyt wielką i stąd tyle niewygód i cierpień przebywać musiała. Gdy po noclegu, rano, odezwały się bębny, należało rzucać wszystko i natychmiast zbierać się na dziedzińcu. Starostowie i oficerowie obliczali więźniów i w dalszą puszczali drogę.

Straszną była zima w tym roku. Miejscowi nawet ludzie narzekali na jej niezwykłą surowość. Mrozy i śnieżyce prześladowały nas codziennie. Ostry wiatr wschodni siekł nieustannie, przenikając aż do szpiku kości. Marzliśmy. Nietylko ludzie, lecz i natura zadawała nam straszne męki.

Cierpieli zwłaszcza moi biedacy z Królestwa. Już oddawna ich pobożne pienia zastygły im na ustach. Tuląc do piersi drobną dziatwę w lichym przyodziewku, odmrażali sobie ręce, podtrzymując kolejno drogocenny swój Obraz, umieszczony na saniach.

Liczba chorych rosła ciągle. Już kilka trupów pochowaliśmy przy drodze i usypali parę dziecinnych mogilek. Straszny chłód nie dał nam nawet

zatknąć znaków Męki Pańskiej na grobach towarzyszy. Zmarł też w drodze na Sybir Tomasz Miładowski, nauczyciel ze Słucka; przemarzli żołnierze pędzili dalej.

Po obu stronach szlaku etapowego z pod zasp śnieżnych wychylały się raz po raz krzywe, zczerniałe krzyżyki mogilne.

Na niektórych z nich wryte były drżącą ręką scyzorykiem nadpisy i nazwiska, czasem bardzo świeże, czasem już nieczytelne. Na jednym z krzyżów, mocniejszym od innych, na prędcie skleconych, stał rok 1832... na innym 1838. Sterczały one jako niktające pamiątki po tych zapomnianych, co szli tędy—przed nami.

Im dalej na wschód—tem więcej krzyżów, więcej mogił i kości polskich, rozsianych po stepie...

Tak szliśmy do Kazania krainą płaską, pustą, bezludną prawie. Przy drodze, pozbawionej ruchu i życia, martwej jak cała okolica, spotykały się jedynie długie, kilkowiorstowe nieraz wsie rosyjskie, zabudowane w jeden szereg chałup. W środku wsi takiej błyszcziała zwykle kopuła cerkiewna. Nareszcie po paru tygodniach tej piekielnej drogi oczom naszym ukazał się starodawny Kazań. Był to punkt, gdzie się schodziły wszystkie etapowe drogi, któremi wygnańcy Polacy z Korony i Litwy kroczyli do Syberii. Deportowani z południowych gubernii mieli szlak inny, wiodący na Tambów i Samarę. Wszystkie te krzyżujące się gościńce wydeptały stopy polskie, stopy dziadów, ojców i wnuków... Po każdym wstrząśnięciu krajowem nowi

się tędy snuli skazańcy... Każde pokolenie dawało ofiary swoje...

W ogromnych kazańskich kazamatach panował tłok wielki. Skupiło się tu naraz kilkanaście partii wygnańców. Władze miejscowe okazywały Polakom wiele uprzejmości, starając się ulgami osłodzić ciężką dolę naszą. Wolno nam było swobodnie wychodzić na miasto i załatwiać wszelkie sprawunki.

W więzieniu, wśród wygnańców polskich, przybyłych ze stron różnych, pełno było niesfornych żywiołów, wznecających zamęt w stosunkach więziennych. Nasza partya zorganizowana należycie ze starostą na czele, wyróżniała się nader korzystnie na tle ogólnego chaosu. Poważniejsi więc ludzie zwrócili się do mnie z prośbą o przyjęcie wszystkich Polaków pod moją starościńską władzę i zaprowadzenie wśród nich pewnej organizacji. Uczyniłem to chętnie i wkrótce ład i spokój zapanaował w więzieniu.

W więzieniu kazańskim, w zbiorowisku polskich wygnańców, odnalazłem wielu starych znajomych. Ucieszyłem się wielce na widok Bolesława Świdy*), oraz Piotra Czekotowskiego z młodziutką jego żoną, poślubioną w więzieniu. Twarzyczka jej wskutek trudów ciężkiej etapowej podróży nieco przybladła, ale energia i siły zdawały się być niewyczerpane. Mężna niewiasta, przy boku ukochanego, kroczyła śmiało w ciemną i niepewną przyszłość.

* Nauczyciel ze Słucka.

Z wielu innych Polaków, których spotkałem i do których się zbliżyłem w Kazaniu, najżywiej stają mi w pamięci: dr. Lasocki z żoną, dr. Łagowski z żoną, dr. Stanisław Tomkiewicz, Karol Szalewicz z Kałdyczewa, trzej bracia Komorowscy, Ryszard, Michał i jeśli się już nie mylę, Antoni, Potocki z Podola z żoną, Holcendorf z Warszawy, Deko, plenipotent Czartoryskich z żoną, Jasinowski, Izidor Płaskowski z żoną i bratem Adamem, oraz Zejfryd z Ukrainy z idealnie piękną małżonką. Wszystkie te panie rozlewały w ciemnych i zimnych ścianach więzienia urok towarzyski i ciepło rodzinne.

Tu, w Kazaniu, dowiedziałem się o losie wielu moich krewnych, przyjaciół i znajomych, towarzyszy powstania i więzienia. Hektor Korkozowicz już zakończył życie w Petersburgu, a dr. Nowicki z Ihumenia, skazany w Mińsku do ciężkich robót, został niespodziewanie ulaskawiony i osiedlił się w Wilnie.

Smutnie dotknięty byłem wieścią o doli krewnych moich, Czesława i Anny Świętorzeckich, rodziców słynnego Bolesława, za którego omal nie zawiśłem na szubienicy. Chociaż oboje, jako ludzie niemłodzi, udziału w ruchu powstaniowym nie brali, lecz, karani za syna, zostali nagle uwięzieni i deportowani bez sądu, drogą administracyjną, do Penzy, gdzie się znaleźli bez żadnych środków do życia. Wprawdzie ona posiadała dwa znaczne majątki nie skonfiskowane wcale, lecz jeden na Litwie był pod sekwestrem, drugi zaś Wilków w Królestwie w ręku niesumiennego dzierżawcy, który,

korzystając z ogólnego zamętu i nieszczęścia Świętorzeckich, nie płacił wcale. Nikt też z krewnych nie przyszedł z pomocą. Przywykli do wielkich wygod i dostatków, w Penzie marli niemal z głodu. On wkrótce umarł, składając kości swoje na obcej ziemi. Ona wpadła w ostatnią nędzę i słynna bogaczka litewska najmowała się u kupców ruskich do prania bielizny dla kawałka chleba.

Nie mogłem sobie przedstawić dumnej mojej kuzynki w tej roli i całą duszą jej współczułem. Ale energiczna kobieta pomimo tych ciężkich przeżyć nie straciła zdrowia i nie upadła na duchu. Gdy w lat parę wrócić jej do kraju dozwolono, wytoczyła proces dzierzawcy, ściągnęła z niego 40,000 rubli i sprzedała Wilków za sto kilkadziesiąt tys. Czas jakiś mieszkała w Warszawie, potem się przeniosła do Wenecyi, gdzie syn jej najczęściej przebywał. Przeżyła go i we Włoszech sama życie zakończyła. Narazie jednak bieda jej i nędza w Penzie bolała mię mocno.

Wszyscy niemal wygnańcy otrzymali w Kazaniu listy od rodziny z kraju, którą uprzedzili o dłuższym w tym mieście pobycie.

Listy do zesłańców podlegały podwójnej cenzurze: w miejscu wysłania korespondencji i w miejscu jej odbioru. Rzadko nader listy rodzinne ulegały konfiskacie, bo o politykę w nich nie potrącano wcale.

Niosły one jednak dla wygnańców tak miłe i pożądane echa z kraju, niosły słodki balsam gojący ich serdeczne rany oraz siłę do wytrwania w cięż-

kiej doli na obczyźnie. Z listami rodziny otrzymałem serdeczną kartkę od narzeczonej. Pieściłem ten papier jak relikwię świętą... Zazdrościłem tym szczęśliwcom, z którymi żony szły na wygnanie—zazdrościłem zwłaszcza Czekotowskiemu tego wiernego serca, które go w więzieniu odnalazło i na tułaczkę za nim poszło.

Gdy się gdzieś osiedlę — myślałem — i moja, jak ptak stęskniony, przyleci do mnie niewątpliwie.

Nadzieja ta rosła ciągle, wlewając we mnie nową energię i siłę.

Korzystając, jako starosta, z większej swobody, udałem się wnet do fotografa, podobiznę swą rodzinie i narzeczonej posłałem. Miałem prawo wychodzić na miasto, ilekroć chciałem, ale zawsze w asystencyi szyldwacha. Więzienni więc moi towarzysze załatwiali przezemnie wszelkie sprawunki. Codzień wieczorem składano mi do torby pieniądze oraz kartki ze spisem żądanych artykułów. Czasem liczba monety dosięgała do parusetek rubli. Więzienie kazańskie było obszerne i czyste stosunkowo. Z więźniami obchodzono się łagodnie, uwzględniając ich potrzeby i żądania. Nie pilno więc nam było ruszać w dalszą drogę.

Urządzaliśmy czasem rauty i pogadanki swobodne. Mielśmy nawet codzień partyjkę preferansa. Partnerami moimi byli zwykle: Michał Makowiecki, Jasinowski i Zelfryd, który oprócz żony miał ze sobą czternastoletnią córkę, tak ładną, jak matka, a bardzo miłą i wesołą panienkę. Srebrny jej głosik dzwonił wciąż w murach więziennych.

Pewnego wieczoru, gdyśmy grali w karty, ustawwszy jak zwykle pudło drewniane w miejsce stołki pomiędzy łózkami, które nam za krzesła służyły, zdjąłem z siebie torbę, lokując ją obok, pod poduszkę.

W torbie, oprócz pieniędzy, złożonych mi na jutrzejsze sprawunki, były i moje własne fundusze: sto rubli ukrytych w lusterku pod szkiełkiem i pięćdziesiąt w okładce książki do nabożeństwa. Oprócz tego znajdowały się w torbie papiery różne, pamiętki, fotografia oraz list polecający do Despoty-Zenowicza, gubernatora w Tobolsku.

Gdyśmy grać skończyli, rozchodząc się o dziewiętej do kamer swoich,—sięgnąłem po torbę, lecz jej już na miejscu nie było. Wszystkie poszukiwania okazały się daremne.

Podniosłem alarm.

Do celi, w której graliśmy, wchodziło dużo osób. Na żadną z nich jednak podejrzenia mieć nie mogłem. Dałem znać o stracie oddanym mi całą duszą Mazurom.

Ci poruszyli wszystko, ale najcisłejsze rewizye do żadnych rezultatów nie doprowadziły. Stroskany, musiałem wypruć zaszyte w ubraniu pieniądze, ostatki moich funduszków, przeznaczonych na czarną godzinę, ale wszystkie zlecenia, dane mi z wieczora przez towarzyszy — spełniłem. Gdym wrócił z miasta ze sprawunkami, oddano mi znalezione szczątki pokrajanej torby, oraz listy i fotografie, związane w paczkę.

Rad ze zwrotu drogich mi pamiętek, mniej się już o stratę materyalną troszczyłem.

III.

Epizod z torbą, zmąciwszy spokój, zniechęcił mię do dłuższego pobytu w Kazaniu.

Podniosłem więc pierwszy ruch do dalszej drogi, oświadczając wszystkim, iż, jeśli kto sobie życzy, może się do mojej partii przyłączyć.

Amatorów znalazło się wielu. Wszyscy ci, którzy ze mną byli bliżej, a których nazwiska w poprzednim rozdziale przytoczyłem, wpisali się do mych szeregów.

Partya moja urosła ogromnie. Zorganizowawszy ją należycie, zawiadomiłem władze o dniu wyjścia.

Korzystając z możności, wszystkie niemal zamożniejsze rodziny zaopatrzyły się w kryte sanie. Ja również kupiłem budkę na spółkę z Bolesławem Świdą.

W dzień śnieżny i posępny karawana nasza, dłuższa i liczniejsza niż wprzód, wysunęła się z Kazania, dążąc brzegiem rzeki Kamy do Permu.

Droga trwała około dwóch miesięcy, a była również uciążliwą jak pierwsza.

Kroczyliśmy nader powoli wielką pustynią, pokrytą śniegiem, w którym z trudem brnęli i ludzie, i konie. Noclegi na etapach męczyły nas więcej, niż sama podróż.

Etapy bowiem wszędzie były również brudne i ciasne, a nasza partya, liczniejsza niż poprzednio, posiadała w składzie swym sporo słabych i delikatnych niewiast.

Na etapach zamykano je razem z mężczyznami w jednej izbie, gdzie wszystkie naturalnie funkcyje

fizyologiczne załatwiać trzeba było. Panie, o ile mogły, urządzały sobie około nar*) kotary z chustek i kołder.

Były to ciężkie bardzo chwile, ale taka głęboka powaga panowała wśród wygnańców, iż najkrytyczniejsze nawet sytuacje pokrywać umiała. Traktowano tę rzecz naturalnie, uważając wszelkie niewygody za dodatkowe ogniwo łańcucha ogólnych mąk i cierpień.

Szacunek ówczesnych mężczyzn do kobiet przekraczał o wiele granice dzisiejszego poszanowania dla niewiast. W stosunku zaś do towarzyszek niedoli i wygnania szacunek ten rozrastał się do rozmiarów czci niezwyklej. Wygnańcy w party tworzyli jedną wielką rodzinę sióstr i braci, złączonych z sobą węzłem wspólnego nieszczęścia.

Partyę moją tym razem spotkały różne niepowodzenia. Władze etapowe były często nader surowe i nieubłagane. Nie mogłem niczem ułagodzić rozłoszczonych na „Polaczków“ oficerów. Po zbądaniu przyczyn okazało się, iż przed nami ciągnęły tędy party wygnańców polskich, które, jak mówiono, na etapach „buntowały się.“ Gdy żołnierze uśmierzyć ich nie mogli, puszczano na nieszczęśliwych—kryminalistów, drużynę pospolitych zbrodniarzy i przestępców, idącą zwykle na przodzie. Ci bili i mordowali winnych i niewinnych.

Rozlało się na tej drodze wiele krwi polskiej!... Ale oficerowie etapowi mieli z tej racji wiele kło-

*) Nary — deski, przybite do ściany, za łóżka służące.

potów i stąd taką niechęć ku Polakom czuli i przesładowali ich z zaciekłością straszną.

Udało mi się jednak dojść z niektórymi do porozumienia i wykołatać dla pań pozwolenie noclegowania w chatach włościańskich. Na etapach kobiety cierpiały mękę straszne wskutek ciasnoty i brudu.

Gdy rodziny wynosiły się z etapów na wolne mieszkania, zyskiwaliśmy nieco więcej przestrzeni i powietrza.

Przebywszy więcej niż połowę drogi do Permu, nagle zachorowałem. Dnia pewnego sanie Zejferców ugrzęzły w głębokim śniegu. Konie wyciągnąć ich nie mogły.

Zwołałem więc kolegów i wspólnymi siłami wydobyliśmy sanie ze śniegu. Rozegrałem się i spotniałem przy tej robocie, a gdy mię zimny wiatr owiał, — zapalenie płuc było gotowe.

Czując się źle, wobec wzmagającej się gorączki, oddałem kierownictwo partyi Bolesławowi Świdzie, który odtąd przyjął na siebie obowiązki starosty. Mnie zaś liczni w party lekarze wnet otoczyli troskliwą opieką. Niemniej, jak siostry miłosierdzia, czuwały nade mną wszystkie panie.

Chciałem zostać na pierwszym etapie, lecz towarzysze moi na to się nie zgodzili, wiedząc, iż rzucony tam, zginę marnie. Postanowiono wieść mię ze sobą.

Pocziwi ludzie wnosili mię i wynosili z budki na rękach, ciągnąc mię tak na każdym etapie. Otóż Grudziński zwłaszcza i Downar, towarzysze

moi z partii Zaremby, z rąk mię niemal nie spuśczaży, pielęgnując z troskliwością nieopisaną.

W nieszczęściu dopiero poznaje się ludzi.

W chorobie odczułem ich wielką miłość i życzliwość. Dzięki współtowarzyszom niedoli, nie ległem w obcej ziemi. Oczy moje zdołały jeszcze ujrzeć litewskie niwy, a piersi odetchnąć swojskiem powietrzem!...

Serce wzbierało mi wdzięcznością, i dziś jeszcze, po upływie lat tylu, wspomnienie chwil owych łączy mi z oczu wyciska.

Bieda, łącząc ludzi, podnosi ich i uszlachetnia.

Wszyscy wygnańcy nasi, złączeni w jedną wielką rodzinę, żywili dla siebie istic braterskie uczucia.

Zbliżając się do Permu, czułem się znacznie zdrowszym. Pozostać tam jednak na rekonwalescencji — nie chciałem.

Wolałem sunąć się dalej z moją partją.

Po tygodniu więc wypoczynku w więzieniu permkiem, gdy nabrałem nieco sił, ruszyliśmy z wielką ostrożnością w dalszą drogę.

W Permie było też sporo wygnańców polskich z różnych stron kraju. Będąc chorym, z nikim się nie spotkałem i bliższych informacji o zesłańcach tych nie miałem. Nikt się też do naszej nie przyłączył partji.

Z Permu do Ekaterynburga nowy system deportacji więźniów. Nie pieszo już lub na pojedynczych furmankach, jak dotąd, lecz trójkami. Na każde sanie, zaprzężone we trzy konie, lokowano cztery osoby oraz moc kufrów i pakunków. Trój-

ka z miejsca puszczała się en carrière i leciała tak po jamach, dołach i wybojach, których pełno było na drodze. Ludzie tłukli się sami o siebie, o własne kufry, o sanie i byli tak strudzeni, iż, gdy przybywali na etap, zaledwie z sań zejść mogli.

Był to rodzaj podróży bardziej męczący, niż poprzedni. Kto miał własne sanie — mniej odczuwał tę szaloną jazdę. Inni cierpieli męki Tantalą.

Tak lecieliśmy wiorst 600.

Na szczęście miałem ze Świdą wygodną budkę, inaczej nie wytrzymałbym tej drogi. Biedne kobiety nasze złamane były zupełnie.

Pustynia, którą przebywaliśmy, szlak wygnańców polskich, czyniła wrażenie pogrzebowego cmentarzu. Wiało od niej śmiercią... Na białej płachcie śnieżnej rysowały się wszędzie czarne, nieforemne krzyże, stawiane na prędcę ręką towarzyszy na grobie tych, co padli w drodze.

Ceremoniał pogrzebowy był krótki. Owijano ciało w prześcieradło i — do ziemi. Towarzysze strugali krzyż z poblizkiego drzewa, śpiewali Anioł Pański i — ruszali dalej.

Moloch stepowy pożerał ogrom krwi i kości naszych. Śmiało rzec można, iż z tych, co poszli na Sybir, zaledwie jedna dziesiąta wróciła do kraju.

Przygnębieni widokiem mogił, z uczuciem niewysłowionego bólu, stanęliśmy w Ekaterynburgu.

(„Ze wspomnień wygnańca“ — Apollinary Świątorecki — Wilno, 1911).

POLACY I ROSYANIE.

Przez każdą wieś, przez którą przechodziła partya aresztantów, kobiety wybiegały z domów dając „podajanie,” w postaci bułek, chleba, sera i kwasu. Kwas jest to napój używany w całej Rosyi przez wszystkie stany mieszkańców, a wyrabia go gospodyni z żytniej mąki. Kwas u najbiedniejszego gospodarza stoi w dużej beczce i w miejsce wody do picia bywa używany.

Dawanie jałmużny więźniom jest głównym artykułem wiary, i gospodyni, która lekceważyłaby ten zwyczaj, popełniłaby grzech ciężki. Zresztą aresztantów nie uważają tu za wyrzutków—poziom moralny mieszkańców każe tolerować przestępstwa, bo może i dającego jałmużnę wkrótce podobny los spotkać.

Wjeżdżałem teraz w gub. jarosławską i jednocześnie okolica zupełnie się zmieniła. Góry po-

kryte lasami, a grunta wyborowe i gubernia najludniejsza ze wszystkich położonych w Rosyi europejskiej. Znać na każdym kroku zamożność mieszkańców, a wieś Siminisznow i miasteczko Piotrów, przez które przejeżdżałem, zabudowaniami i szeregiem ciągnących się „owin,” dawały tego dowody. Ziemia urodzajna i tak mało wyczerpana, że rolnicy nawóz przez zimę całą wywożą na brzegi rzeki i jezior, które w chwili roztopów unoszą do morza—ten skarb rolników na zachodzie.

Lud dorodny, zdrowy, widocznie dobrze odżywiany i bogato odziany. Gdy mieszkańcy dowiedzieli się, że w partyi aresztantów znajduje się Polak, przybiegli, serdecznie witali i nadzwyczaj sympatycznie się wyrażali.

„Ach biedny Polaczok!”

Po kilkodniowej podróży wjeżdżaliśmy teraz do powiatowego miasta Rostowa. Miasto piękne, duże, bogate i handlowe, jarmarki tu trwają po trzy tygodnie. 13,000 mieszkańców, 30 cerkwi—leży przy ogromnem jeziorze tej samej nazwy, jezioro ma 20 wiorst długości.

Pan Bóg widocznie otaczał mnie swoją opieką—bo tylko co wjechaliśmy w pierwszą ulicę, przybliżył się młody żołnierz, popatrzył się, przemówił słów parę i zapytał w końcu czy jestem polakiem, a gdy dał twierdzącą odpowiedź, pobiegł szybko.

Przyprowadzili nas przed miejscowy ostróg. Przy bramie spostrzegłem tego samego żołnierza stojącego z dwoma oficerami, byli to, jak się później dowiedziałem, jego zwierzchnicy. Oficerowie upro-

sili smotrytiela, żeby mnie oddał w ich ręce. Zabrali mnie z sobą. Ów żołnierz był synem obywatela z Radomskiego, wziętym z partyi Langiewicza i wysłanym na prostego żołnierza do Rostowa. Trafił na zacnych oficerów, wzięli go zatem do siebie za deńszczyka, pokochali i obchodzili się z nim jak z równym—jak z bratem.

Zawieźli mnie przedewszystkiem do łaźni, dali czystą bieliznę i ubranie, gdyż inaczej nie mógłbym iść do mieszkania, taka moc była na mnie rozbactwa. W kwaterze usłali mi łóżko i starali się ugościć, czem tylko mogli. Nie pamiętam, abym od początku aresztowania miał kiedykolwiek takie wygodne spanie i życie.

Dowiedziałem się, że w Rostowie jest na posiedzeniu jeden Polak, a radość moja nie miała granic, gdy się dowiedział, że tym posiedźcem jest mój najlepszy przyjaciel z cytadeli warszawskiej, Łubiński. Dali mu znać, natychmiast przyszedł. Serdeczne było nasze powitanie i już nie opuścił mnie ani na chwilę, oprowadzał po mieście, pokazując osobliwości.

Oficerowie wystarali się, że nie zostałem odesłany z całą partyą aresztantów, aż dopiero na trzeci dzień, oddzielnie, z jednym żołnierzem—miałem zatem nadzieję, że podróż moja odtąd będzie znośniejszą. Poszedłem jednak rano przed wzięcie, aby pożegnać się „z bratem Sjamskim” i zacnym opiekunem, choć zbrodniarzem, Wołkowem. Zbój ten całował mnie po rękach, płakał i powtarzał, obcierając brudnym rękawem oczy:

„Ach baryn! baryn!! ja was nie zabudu, ostajta z Bohom, a wspomnijcie biednego i nieszczęśliwego, który teraz brzydzi się sobą.“

Uściskałem szczerze i serdecznie namuloną rękę zonobójcy i pragnąłem przygarnąć go do serca.

Na trzeci dzień zaopatrzony przez zacnych kolegów i oficerów w różne prowianty wsiałem do oczekujących sań i już tylko z jednym żołnierzem, który więcej był dla mnie sługą, niż stróżem, wyjechałem z Rostowa.

Żołnierz zaproponował, żeby jechać krótszą drogą, przez zamarznięte jezioro—zgodziłem się chętnie. Jechałem sam bez partyi, więc kilkadziesiąt-wiorstową przestrzeń przebyłem w kilka godzin; zostało mi zatem dużo czasu dla poznania i studyowania tutejszego ludu, z którym miałem teraz sposobność ciągle przestawać.

Około 3-ej godziny przed wieczorem przybyliśmy do „sioła“ Fiodorówka. Zatrzymaliśmy się przed jednym z domów włościańskich, odtąd nie idąc z partyą, dostawałem zawsze kwaterę u któregośkolwiek mieszkańca, a oddać muszę tę sprawiedliwość, że wszędzie byłem przyjmowany gościnnie i serdecznie. Wieś, do której przyjechałem stała na uboczu i zdala od głównego traktu i pierwszy raz zdarzyło się mieszkańcom przyjmować w swych progach „srogiego miatieżnika Polaka“.

Ściemniło się zupełnie—tylko księżyc srebrne światło rzucał na drogę i wieś, tonącą w puchowej śnieżnej pościeli. Izbę zaś łuczywo słabo

oświetlało. W całej Rosyi Rosyanie w miejsce świecy używają cienko i długo nalupanych prętów z drzewa brzoźowego, które wysuszone palą się jasno i nie zostawiają swędu. Dla zabezpieczenia od pożaru stawiają długie drewniane wazki korytko, napelnione wodą, a opalony węgiel w nie wpada, bo w jednym końcu takiego korytka przy-mocowany jest wysoki drażek, zakończony u góry żelaznemi widełkami, gdzie umieszcza się łuczywo.

Izba włościańska, a mówię o „kurnej“, w której zwykle gromadzi się rodzina, jest obszerna, ale czwartą jej część zajmuje piec łącznie z kominem. W nim gospodyni raz tylko na dzień rano gotuje i piecze, a potrawy dzień cały stoją w piecu, nie mogą być zatem smaczne. Drugą część izby, równoległą z piecem, zajmuje „pałatka“, jest to rodzaj antresoli, na której cała rodzina sypia, odpoczywa, a w czasie zimy wygrzewa. Wokoło drugiej części izby ustawione są pod ścianą ławki, a w jednym rogu, wprost drzwi wchodowych stoi stół, nad nim na ścianie porozwieszane „ikony.“ W tym właśnie rogu odbywają się wszystkie uroczystości rodzinne, tu jadają obiad, tu się modlą, tu gości przyjmują, a pragnąc gościa uczcić, sadzają w samym środku, pod ikonami.

Mój „anioł-stróż“ był dla mnie z całym szacunkiem i nie czułem niewoli, widocznie oficerowie w Rostowie tak go usposobili. Otóż obecnie mój famulus nastawił samowar, podał herbatę, zapalił moją własną świecę i wyszedł.

Wkrótce jednak wraca i przysuwa się do mnie. Spostrzegłem, że chce coś powiedzieć. Zapytałem się zatem co ma za interes.

„Ach baryń! ja nie śmiem powiedzieć“.

„No mów śmiało“ — odpowiedziałem — „czego chcesz?“

„Wot czto—tutejsi mieszkańcy nigdy jeszcze nie widzieli polskawo miatieźnika, oni pragną barina zobaczyć i pomówić, ja bym coś zarobił, czy wy nie macie nic przeciw temu? mnie predłagajut po kopiejeczkie z ryła“.

„Owszem, rób jak uważasz, ja zgadzam się zupełnie“. Jednocześnie ucieszyłem się bardzo z tej propozycji, bo będę miał sposobność pogawędzić i poznać charakter ludu—postarałem się także o to, aby ten „polskij miatieźnik“ mógł wyrzucić na nich dodatnie wrażenie.

Ubrany byłem w jedwabną ponsową koszulę, którą w Warszawie dała mi siostra K. Bartoszewiczowa, jako prezerwatywę od brudu i blondynek. Na piersi, na srebrnym łańcuszku, wisiał duży medaljon z Matką Boską Częstochowską w oprawie z kości słoniowej. W bocznej kieszeni koszuli zegarek z łańcuszkiem, a na głowę włożyłem z fantazyą siwą barankową czapkę. A dodać muszę, że byłem młody, żywy jak iskra i energiczny. Pałyły się dwie świece stearynowe, stała szklanka herbaty, a ja z papierosem w ustach, rozparty, przybrałem pozę bohatera, tryumfatora.

Ledwie skończyłem upozowanie swoje, gdy w drzwiach ukazał się żołnierz i trzymając jedną

ręką na klamce, drugą wyciągnął po „kopiejeczki“.

Drzwi trochę się uchylily i ujrzałem brodatą gębę chłopca, wsuwającą się do wnętrza izby, a za nią spostrzegłem pełno nabitych głów. Przybysz jedną nogą wprowadził do izby wtedy, gdy ja mimowoli i bez żadnego celu, mając zagaszony papieros wstałem, pragnąc zapalić go od świecey. W tej chwili drzwi raptem się zatrzasły i usłyszałem naprzód tupot, biegnących po schodach, a na ulicy krzyk, jakby się wieś cała paliła. Żołnierz wybiegł—ja przerażony przysunąłem się do okna i wyjrzałem. Oczom moim przedstawił się dziwny widok. Setki mężczyzn, kobiet i dzieci z przerażeniem biegły, przewracając jeden drugiego a z zamętu tego dolatywał krzyk.

„Palaki rieżut! Palaki rieżut!“

Przyznam otwarcie, że się przeląknęłam, uspokoiła mnie jednak moja „chozajka“, która śmiejąc się, podeszła do stołu i rzekła:

„Durnyja ludi, niebespokojties, oni pryjduť“.

Wszedł jednocześnie żołnierz, zanosząc się od śmiechu.

„Wie „baryń“ jakie to tu bydło, oni, jak wy wstali, myśleli, żeś się na nich rozgniewał i że pozabijasz ich wszystkich, bo oni tak są uprzedzeni o Polakach, że to „nieczystyj narod,“ że z czartem trzyma i ma taką „pulu,“ która odrazu śmierć tłumom zadaje. Uspokoiłem ich—ciągnął dalej żołnierz—i poręczyłem, że wy „baryń iz błagorodnych Polakow“.

Wkrótce też zaczęli śmielsi wchodzić do izby, dotykali każdego przedmiotu, jaki stał obok mnie lub był na mnie, a gdy jeden z nich spostrzegł na piersiach moich medaljon, chwycił go w rękę, bystro począł się przypatrywać i z podziwem odezwał się do mnie:

„Eto Matier Bożija?“

Dałem twierdzącą odpowiedź — spojrzął mi dziwnie w oczy i zapytał:

„Razwie ty kreszczonyj?“ (Alboż ty jesteś chrzczonej?)

Kiwnąłem mu głową na znak potwierdzenia a kaczep się odezwał:

„Perekrestis!“ (przeżegnaj się).

Zrobiłem znak krzyża św., a nigdy pewno z taką powagą, świętością i namaszczeniem tego nie czyniłem. Kaczep raptem się odwrócił i począł nawoływać: Al.. al.. Iwan Iwanowicz, Piotr Nikiticz, Illa Illicz i t. d., po kolei przywołując wszystkich starszych gospodarzy. To też biegli i tłoczyli się koło mnie, a pierwszy, który mnie badał, wymachując rękami, opowiadał:

„Smatrytie, on kreszczon!.. on żegna się tak samo, jak my, krzyżem św., on nosi na piersiach Matkę Boską.“

Zostałem formalnie obłączony, bo każdy pragnął z blizka mnie obejrzeć, dotykając się rękami każdego przedmiotu. Najwięcej jednak przypatrywali się medalionowi, który zdjąć musiałem, a przechodził z rąk do rąk i z ogólnym podziwem wykrzykiwali:

„Smotri?.. eto kak nasza Preswiataja Boga Rodzica“.

Posypały się teraz zapytania i ja nie dłużny byłem w odpowiedziach.

Potoczyła się wartka rozmowa, która przeciągnęła się do samego rana. Przekonałem się z niej, że u prostego ludu w Rosyi grunt serca bardzo dobry, że wiele ma praktycznego, zdrowego rozumu.

Nazajutrz około południa ugoszczony i żegnany owacyjnie przez mieszkańców, wyjechałem na saniach, do których zaprzężono najlepszą parę koni, jaka była we wsi. „Jemszczyk“ odziany w bogaty kozuch, skoczył na kozioł, świsnął — dzwonki i różne ozdoby przy uprząży głośno zadzwoniły i zabrzęczały, konie parsknęły i z miejsca pomknęły galopem. Jechaliśmy tak szybko, że trudno było odetchnąć — przez boczną drogę zdążając do głównego traktu.

(„Pamiętniki Wład. Zapółowskiego (Płomienia) z roku 1863 — 1870“ — Wilno, 1913).



194950

K/36.

2 36 T 308/12. 416

Spis rzeczy.

<i>Przedmowa</i>	7
Konstanty Wolicki.	
<i>W drodze na Sybir</i>	7
Agaton Giller.	
<i>Pożegnanie Polski</i>	25
Leonard Mężyński.	
<i>Pochód na sybir</i>	35
Ludwik Zielonka Jastrzębiec.	
1. <i>Etapy</i>	33
2. <i>Fabrykacya fałszywych rosyjskich rubli w wię- zieniach i na etapach Sybiru</i>	70
Kornel Zielonka.	
<i>Dantejska droga</i>	93
Apolinary Świętorzecki.	
<i>Na wygnanie</i>	113
Władysław Zapałowski.	
<i>Polacy i Rosyanie</i>	129

